



11636/70

FIGLIKI SOWIZDRZAŁSKIE NAPISAŁ A. NOWACZYŃSKI





FIGLIKI

SOWIZDRZALSKIE

FIGLIKI SOWIZDRZALSKIE

NAPISAŁ

A. NOWACZYŃSKI

Alfred Nowaczyński

WARSZAWA LUDWIK BIERŃACKI I SP.
KRAKÓW G. GEBETHNER I SP. 1909.

LPV5 c

319822

I

K-70/11636

3.6.

75,-



Drukiem W. Poturalskiego, Podgórze-Kraków.

Stefan Żelazny

Słów kilkoro od Autora.

Wiązanka ostów, kąkolu, łopianu i innych chwastów, którą Szanowny Czytelniku dzierżysz obecnie w swych rękach, zrywaną była przeważnie w latach już dawnych.

W czasach burz i zapędów...

Pijaństwa, obżarstwa i porubstwa...

I hedonizmu.

Pisało się je dlatego, ponieważ dostawało się za nie po koronie od wiersza. Ten argument chyba Cię Szanowny Czytelniku przekona.

Wszystko to są rzeczy przeważnie świetne a nadto zupełnie doskonałe. Że mnieby one obecnie setnie nudziły, z tego zgoła nie wypływa abyś Ty Szanowny Czytelniku nie miał obowiązku obywatelskiego bawić się przy nich wyśmienicie i zaśmiewać do rozpuku.

Piosenki tu dodane były wyte przez indywidualia utalentowane w następujących światowej renomy kabaretach:

Słyszysz? Kabaretach: „Zielony Balonik”, „Jama Michalikowa”, „Pod wesółym Teofilkiem”, „Figliki”, „Momus”, „Pochronka”, „Pod Marcholtem”, „Stasinkowe schroni-

sko“, „Swidrygałki“, „Kurniki“ i t. d. Aha i „pod Zagłobą“.

We wszystkich tych kabaretach cieszyły się wprost niebywałem powodzeniem. Dość powiedzieć, że za kuplet o „Zaścianku krakowskim“ Rada stol. miasta Krakowa na nadzwyczajnem posiedzeniu dnia 31 maja w r. 1906 odbytem, jednogłośnie ofiarowała autorowi humorowe obywatelstwo miasta Krakowa. Kuplet o „Halebardniku ostatnim“ raz tylko został odśpiewanym z powodu manifestacyjnie fanatycznego zachowania się P. T. Publiczności.

Muzykę do piosenek może sobie czyty słuchacz w duszy dośpiewać, albo dorobić, albo zakupić ją w składach nut. Według swego widzimi się.

Rzeczy prozaiczne należy czytać powoli, z rozważą, omal głośno i starać się koniecznie pojąć sens tekstu. Między wierszami należy czytać znacznie więcej niż w wierszach. Na interpunkcyę trzeba bardzo zważać, gdyż w niej wiele się kryje uroku, czaru i głębi. Na specjalne uwzględnienie zasługuje jeszcze widoczne przywiązanie autora do c. k. biurokracyi galicyjskiej starego typu i stempla, z którą wiązą autora mocne i zażyłe stosunki, na wzajemnem zrozumieniu i szacunku oparte. Jest to zarazem ostatnia autora książeczyna, wydana

pod wezwaniem Sowizdrzalskiem w roku jubileuszowym 1908 ku pamięci dziesięcioletniej pracy autora w zawodzie literackim i ku uczczeniu uroczego miasta Podgórza, w którym niżej podpisany ujrzał światło najpierw nocne poczem dzienne...

Anno Domini 1876.

Co wyraziwszy, polecając P. T. Publice gorąco analogiczno-kabaretyckie publikacye mr. Boya, p. Edzia Leszczyńskiego i poprzednie swoje własne elukubracye Sowizdrzalskie) łączę wyrazy szczerzej sympatyj i do pewnego stopnia nawet szacunku.*

A. N. m. p.

Podgórze, Primae noctis Aprilis 1908.

**) Które wtóry raz już wydanymi nie będą!*

ŚMIERĆ BILITIS

(SKAZKA SYMBOLICZNA).

I kiedy pierwsze listki zaczęły opadać z kwiatu młodości Bilitis, kiedy alabaster jej bioder zółknąć zaczął i tracić zwierciadlany połysk, a niezabudki oczu bladły, kiedy przy pąkach piersi skóra poczęła zlekka fałdować się w ledwie przejrzystą siateczkę a ręce pod słońce wyciągnięte zatracaly już liljowe lśnienia i zapach świeżo ściętych lilji, wtedy dojrzała w pełną kobietę Bilitis, pożegnała szmaragdową wyspę wysp i na złotym korabiu namiestnika perskiego odjechała w tajemniczy, nienawistny Wschód.

Trzy rzędy szlachetnych greków z egejskich wysp, roślących synów wolności, przykutych do dna statku, zanurzało równym rytmem dnia i nocy długie, czarne, zmurzałe wiosła w parsających spienioną złością falach zielonych wód.

Stu zniewieściałych Feaków przywiązanych łańcuszkami do cedrowego pokładu masztowca, grało na syryngach i szałamajach noc i dzień melodyje tęsknot swoich i marzeń o wesołości portowych miast.

Pięćdziesięciu smutnych i smagłych ludzi z Memfis biegalo po okręcie z usługami swej lewej ręki i prawego oka, gdy im wszystkim prawe ręce odcięto a wielu i le-

we wyłupiono, oko by tylko byli godni niewoli i w służalstwie korni.

Dwudziestu krzepkich Numidów z łyskającymi mieczami od pasa pilnowało ładu, psiego posłuchu, ciszy i przechadzając się po statku lśniło w słońca pożodze zielonym jedwabiem swych przylegających do ciała szat.

A wśród tych przykutych Greków, związanych łańcuszkami Feaków, i smutnych, krzepkich Numidów, dziesięciu tylko Persów otaczało bladego Haraxesa, namiestnika Kambyzesowego, wracającego z Hellady do ponurej Ekbatany, dziesięciu starców przedwcześnie zgrzybiałych, dziesięć robaczywych dusz. A wśród nich jedna jedyna kobieta, grecka kochanka, śpiewna boska Bilitis.

I złoty korab płynął pierwszy dzień.

Wiózł Haraxes swemu królowi skarby Hiramu i Sezamu, wszystkie kradzione i rabowane jak zawsze marmury Partenonu i wina w amforach z Keos, materje dziergane złotem mlecznymi dłońmi Tebanek, gliniane dzbanuszki z Kolofon, pyszne kobierce pontyjskie, małe cudaczne potworki z Delos, kość słoniową i błamy onyksu i bursztynowe rzezanki.

A sobie wiózł tylko tę jedną panterę białą wilgotnooką Bilitis, tylko tę jedną kobietę z wiecznie odchyłonymi ustami, to żyjące,

ciepłe źródło szczęścia, dzban nieskończonej rozkoszy wiecznie pełny, ten nieugaszony płomień żądz, śpiewną Bilitis.

I złoty korab płynął drugi dzień.

Ciężko i smętno spływały w zapomnienie godziny pierwszych dni biednej Bilitis.

Mierziły ją ohydne larwy dziesięciu twarzy perskich, niskie, podle czoła psów zestarzałych w niewoli z zapadniętymi, skośnymi oczodołami z których wyslizgiwała się w jasność dnia żmija chytrej, deptanej o błudy.

Drażniły ją płaskie nosy małpie i otwory ust, rozszerzone jak u hipopotamów z wyszczerzonymi kłami głodnych żeru bestji...

Ohydził ją wstrętny opar, jaki wydawały grube ich cielska z członkami smarowanymi juchą szakali. Mdłości uderzały do głowy szlachetnej greczyńce, gdy z ust perskich dobywał się oddech zatruty odorem napoju perskiego, pędzonego jak opowiadano w Grecyi z korzenia wilczomleczu i potu demonów.

Więc żal jej było tylko biednego Hara-xesa.

Spowity w przydługą, złotogłówną szatę, ciężką od drogonajcenniejszych kamieni Wschodu, skrepowany pasem z wielkich, srebrnych skarabeusów, blady jak pobiela-ne groby, drżący od tajemnej febry ciągle-

go przerażenia siedział pod namiotem z żółtego jedwabiu, blisko steru, przygłuszony nieustającą, huczną muzyką Feaków, wparzony szklannym okiem gdzieś w nadiry i bezkresy.

Żal było słodkiej Bilitis tego groźnego a bezwładnego władcy, kiedy patrzyła, jak dziesięciu starych rozkrada i dzieli między siebie łupy z rozbojów Haraxesowych, a potem jego chude dłonie całuje. W twarze obłudnych Persów śmiała się, gdy chyłkiem, gdzieś za spuszczonego żaglem głównego masztu, schryptymi od obmyślanych podłości głosami raili o wysysaniu Haraxesa i podkopywaniu jego osłabłej potęgi.

I złoty korab płynął dalej dzień trzeci.

W tym trzecim dniu po uczcie zbytko-
wnej ku chwale roznamiętnionej Bilitis, rzucono ochłapy z uczty Numidom i oddano im resztki wina w dzbanach, by tylko dalej obosiecznymi mieczami pilnowali ładu, posłuchu i milczenia.

A uradowała się tem lekkomyślna Bilitis i w niehamowanej wdzięczności wpół opita wyciągnęła ku namiestnikowi różową nóżkę z pod lamparciej skóry.

Blady od przydługich pożądliwości, drżącymi ustami po raz pierwszy pocałował je paluszki Haraxes, zdobywca miast i ziem. Kości obgryzione przez Numidów rzucono

smutnym ludziom z Memlis, by nabywszy sił zbytych, prawem okiem i lewą ręką godnie służyli Numidom, Persom i Haraxesowi.

I złoty korab płynął dalej dzień czwarty.

Wychudli z głodu jak szkielety Grecy wyli jak wyją psy scytyjskie leśne; pomruk bezsilnej złości szedł od grających ostatkiem sił Feaków. I gdy nie uciszyły ich głodu słodkie podchlebcze słowa starych Persów, czterem fletnistom odcięto głowy z fletami schwyconymi kurczem w zaciśniętych złością zębach, a dwudziestu Greków odkuto z okrętowych ścian i wrzucono rozigranym rekinom na żertwę. Przyszła wtedy wybladła od wścieklej żądzы pomszczenia się słodka Bilitis do całego w złocie Haraxesa, stanęła w gronie perskich radców i nie mogąc dobyć słów z zaciśniętego gardła, plunęła ylko w namaszczoną wonnościami twarz bladego wodza Persów. Zaśmiał się.

Noc cała upłynęła Haraxesowi na najnamiętniejszem pożądaniu miłości dumnej Greczynki; dziesięciu Persom na naradach, jak pomścić wzgardę królewskiego namiestnika, jak pchnąć namową Heraksesa ku okrutnemu pokaraniu przyszłej kochanki. A Numidom przeszła noc na rozmyślach, jak odkraść skarby tym dziesięciu tylko Persom. A pięćdziesięciu ludziom z Memfis, jak wyłupić oczy

Numidom. A stu Feakom, klnącym nawet me-lopeji, jak zerwać słabe łańcuszki, podburzyć kaleki egipskie i rzucić się z nimi społem na wielki stół biesiadny z resztkami wczorajszej uczyty.

A trzystu Grekom przeszła noc na wysiłkach nadludzkich, by podnosić i opuszczać długie zmurszałe wiosła i nie zagubić rytmu, marząc o wolności.

I złoty korab płynął dzień piąty.

Kiedy złota tarcza Febusa wynurzała się uśmiechnięta z ciemnych wód, już szli smagli Numidowie do namiotu Haraksesa i budząc go zuchwałemi słowy, wraz zażądali uczyty, ale uczyty, któraby swym przepychem przeszła wszystkie do piątego dnia odprawiane na statku i przypominała chyba Daryuszowe potopy wina i Krezusowe stypy obżarcze.

Błady i dygotający obiecał im.

A gdy słońce rozżarzone jak pochodnia Ahuramazdy stanęło nad głowami grających Feaków i poczęło im przepalać gołe, wyschłe czaszki do wnętrza mięszu mózgowego, wtedy stało się że nagle jednym rozpaczy skurczem wiedzeni, odwróciwszy się pozad, wszystkie fletnie i szalamaje w odmęty pienne miotnęli z dławiącym wrzaskiem złej pieśni zemsty. Więc nie było już komu grać do uczyty brudnych Persów ku uczczeniu

Numidyjskich ludzi, giętkich jak stal, niemych jak mumie i złowrogo śmiałych. Rozpoczęto więc biesiadę w niepokojącej ciszy. A kiedy obok skupionych przerażeniem, zgiętych nikczemnem tchórzostwem i już szeptem naradzających się Persów, przechodziła na ucztę numidyjską dziwnie zadumana, słodka Bilitis, wiodąc za sobą całego w złocie rozkochanego Haraksesa, jedno słówko tylko wybiegło z zaciśniętych szyderczo warg na skrzydłach uśmiechu: zapóźno!

Złoty korab płynął dzień szósty.

A w przedświcie siódmego dnia, kiedy wstrętni Persowie i krzepcy Numidzi pokodem pokładli się w pijanem upojeniu na cedrowe deski pokładu, półpijana Bilitis rozszałała widokiem tyłu mężów silnych, a winem słabych, słodko i uroczco oddała swe ciało chucią dyszącemu Haraksesowi.

Poczem blady w szczęściu zasnął.

A gdy zasnął, szybko wstała naga Bilitis z łoża w namiocie i bosymi nóżkami podbiegła do najbliższej śpiącego Numidy. Z trudem dźwignąwszy obosieczny numidyjski miecz, wróciła ciągnąc go ze szczękiem do łoża.

I stanęła nad Haraksesem.

I wpatrzyła się weń tępem wzrokiem opitej a w rozkoszach niesytej Bilitis i nagle poderwała miecz do góry i jęła nim

z nadludzką demonów mocą siec ślepo w obnażonego Persa-kochanka.

A że obyczajem wschodnim bicie do krwi było słodkim przydatkiem cielesnej rozkoszy, więc ranny tylko wymawiał najśłodsze słowa, wijąc się w lubości bezgranicznego bólu i jęcząc lubieżnie, aż póki ostatni cios greckiej pieśniarki nie odłączył mu trefionej głowy od kadłuba.

Cała promienna wtedy w blaskach wschodzącego słońca, stanęła przed żółtym namiotem, wlekąc za sobą kadłub w złocie i we krwi cały. Pierwsi postrzegli ją Feacy. I jakby ich przeszedł tajemny prąd z potwornych rybek morskich, tak drgnęli dreszczem wspólnej woli, że jednym kurczem wszystkich mięśni zerwali niewolnicze łańcuszki.

Więc słodka Bilitis silna tym widokiem odradzającej się siły, wlekła kadłub kochanka-Persa i dalej po pokładzie i na schodki i po schodkach, w dół, w ciemne czeluście kędy wioślarze Grecy.

A kiedy rozwarłszy zapadnięte drzwi, stanęła w blasku dziennego światła z tym krwawo-złotym kadłubem, dobył się jakby z jednej gardzieli piekielnego tygrysa ryk z trzystu greckich wyschłych piersi. Złoty korab drgnął.

I nadszedł wreszcie siódmy dzień zapłaty. Tylko.... tylko, że w szale zemsty na deptanych

cielskach gnijących Persów, w pożodze płomieni liżących cedrowe burty i niszczących skarby Sezamu i Hiramu, we wdzierających się z szumem falach nieubłaganego morza, zginęła i bez śladu słodka, śpiewająca, boska Bilitis.

Gdy już na nieboskłonie majaczył wolności łąd.

WIELKANOC TEOFILKA
(FACECYA GALICYJSKA).

— Chciałem rozbawić małego Teofilka. Wzięłem go tedy na kolana, huśtam monotonnie, zaczynam mruczeć: Hop, hop, hop, koniku galop. Poczem kiedy malec wpada już w lepszy humor, zgoła w dobrej myśli opowiadam:

...Za kilka dni mój Filutku kochany, będą takie Wielkie Święta, będzie taki wielki Piątek, Rezurekcyja... Wielkanoc... Alleluja...

Nagle, malec zrywa mi się z kolan, oczy mu się rozszerzają w okropnym przestachu, spogląda na mnie błędnie z wyrazem konwulsyjnego przerażenia, wpada w spazmatyczny płacz, krzyk, jęki i ucieka potykając się o dywan do pokoju, w którym mamusia jego, arcypieszczoszka panj Bobo, przygotowałwszy wszystko do rozkosznego *tete- a tete*, zacnym zwyczajem kobiet polskich gasiła zbożnie na czas pewien różową lampkę olejną, wiszącą przed wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Dobre półgodziny musieliśmy miłusiego chłopczynę uspokajać, chłodzić go wodą z cukrem, zaprzysięgając mu, że Wielkiej Nocy nie będzie, że tego roku Chrystus nie zmartwychwstanie, że i Wielkiego Piątku nie będzie i „wielkiego śniadania“ ani gości,

ani żadnych takich rzeczy. Dopiero wtedy Teofilek wylawszy z pół litra łez, uspokojony cokolwiek i wreszcie cichy oddał się w opiekę piastunki Maryjanny, a ja z panią Bobo przystąpiliśmy swobodnie „do rzeczy“.

W jakie dwie dobre półgodziny po wypadku co dopiero opowiedzianym znów trzymałem małego Teofilka na kolanach, pani Bobo siedziała przy oknie szyjąc przepyszny fioletowo-złoty ornat dla księdza proboszcza z parafii, a mały Teofilek, chłopczyna przy swych siedmiu latkach nadpodziw umysłowo rozwinięty, obecnie przekupiony paczką cukierków i pomadek, spowiadał się dość interesująco z motywów, dla których tak rozpaczliwie boi się Świąt Wielkanocnych. Pani Bobo pod oknem od czasu do czasu wybuchała gamą śmiechu, jakby kto dzwonił srebrnym dzwonkiem i dodawała tylko swoje uwagi... świetne!

.....Bo już w Wielki Piątek, opowiadał Teofilek, to u nas było straszne piekło — i Babcia z mamą cały dzień siedziały w kuchni i piekło się ogromne placki, a kucharka Kasia pobiła się ze stróżką Apollonią i włosy sobie wrywały i po ziemi się ciągnęły, a ja strasznie płakałem, jak to widziałem, więc mnie mama wyrzuciła na podwórzec — więc wtedy wpadłem do dołu z wapnem i ledwo mnie Ignac od stajni

wyratował i za to dostał od babci pieniądz ale on chciał więcej, bo mówił, że człowieka uratował i kłócił się z babcią i wyzywał okropnie, więc go babcia kochłą od rosołu uderzyła w głowę i mu się prawe oko zraniło, a mnie zamknęli do tatowej kancelaryi i pan Jezus umarł, więc już nie dzwonili w kościołach, tylko deszcz zaczął padać i przekładaniec pies Herod cały podeptał, a potem zjadł...

...I Pan Jezus umarł ale na krótko, prawda Teofilku? zagadnąłem chłopczyka, aby go zachęcić do dalszych miłych rewelacji...

..A tak, Pan Jezus umarł o 3-ciej godzinie, bo to tato widział, a o czwartej do domu wrócił, ale bardzo zły, że Pan Jezus umarł i kazał czarną kawę z cytryną robić, bo miał straszny katzenjamer z tej śliwowicy, co uksiędza proboszcza ją pili. I tato poszedł zaraz spać, a ja uciekłem do kuchni, gdzie kucharka Kasia babci służbę wypowiedziała, bo jej babcia nie chciała pozwolić iść na pogrzeb Pana Chrystusa i powiedziała, że w chlewie nie chce służyć, a woli u żydów, więc babcia rzuciła jej na głowę żelazną brytannę i uciekła do pokoju, gdzie tato spał i tatę zbudziła, a tato okropnie się złościł i powiedział, że o rozwód poda z tymi babami i rzucił na babcię pantoflem. A Pan

Chrystus wciąż umarł, więc kucharka Kasia ze swoim kapralem, co już czekał na bramie, poszła na groby, bo co kościół to inny Pan Bóg umarł, a najładniejszy Pan Bóg umarł u świętych Dominikanów, bo i bengalskie ognie tam były i kanarki śpiewały i wróble i fontanna z wodą sikała, tylko jacyś panowie niciami zeszyli ze sobą dużo osób, tak, że się suknie rozdzierać musiały i kucharce Kasi rozdarli z tyłu bardzo dużo nową spodnicę, więc głośno klęła i modliła się: „O Panie Jezu, zejdźże z tego grobu, a niechże ciężka cholera podusi takich medyków, co się im i w kościele twoim figlów psich zachciwa“. A potem poszliśmy do świętych Kapucynów, bo mnie bardzo kucharka lubiła i wszędzie brała, więc ja cygara tacie musiałem tylko brać z pudełka i dużo dla pana kaprała, a u świętych Kapucynów obracały się takie młynki cudowne i latarki były i złote rybki i kwiatów dużo, a przy stolikach siedziały panie i panowie i jedli cukierki i pomarańcze i okropnie się śmiali i po francusku mówili, a Kasia im dała na tacę pieniędzy a pan kapral na złość dwa pieniądze i panie mówiły: Merçi, merçi i znów się śmiały, a jeden pan widziałem stał w cieniu i taką panią bardzo całował w szyję, aż jej wypadła książeczka do nabożeństwa i ja ją podniosłem, a to był jej

tytuł: Afrodyte, więc się okropnie śmiała i dziękowała i dała mi pomadkę, a potem poszliśmy do innego kościoła, gdzie przed grobem Pana Boga stały dwa żywe żołnierze, a jeden frajter Pęcak co przychodzi do naszej pokojówki Andzi...

...Ależ odpocznij trochę Filutku, bo się zmęczysz i pana zmęczysz, a pan potrzebuje spoczynku... I pani Bobo spojrzała na mnie tak, jak to ona jedna jedyna w Zachodniej Galicyi umie. Ale Teofilek opowiadał nieznużony dalej...

...A w Wielką taką Sobotę to też obiadu nie było, bo Pan Jezus umarł, tylko panowie u nas się zeszli i stary pan prezydent i pan starosta już o jedenastej rano i dostali śledzie od mamy i wódki, a potem jesiotra i wódki, a potem karpia i wódki i grali w karty przy dwóch stolikach, a stary tato kazał spuścić od ulicy i świece przy kartach pozapalać na znak żałoby, że Pan Jezus trochę umarł. Potem i pan prokurator Piernikowski przyszedł, więc nie mógł przyjść wcześniej, bo jednego socyalistę musieli na rozprawie skazać na śmierć, bo powiedział, że pan Jezus dawno umarł i ani z Niego śladu teraz tutaj, a tylko „złe“ syny rządzą i pan prokurator miał mowę pół godziny i teraz chce dużo wódki i karpia w sosie i grał też aż do wieczora, a tato

powiedział mamie w sypialni: idź sama z bębnami na Rezurekcyę, bo oni mają jeszcze pięć robrów. Więc my poszli i było bardzo ładnie, może i ładniej, jak na tej „Żydówce“, cośmy byli w teatrze, tylko że tam był sam kardynał na procesyi, a tu tylko ksiądz proboszcz Gabzdyl i ogromnie śmierdziało od kadzidla i strzelali tak, że pani radcowa Kąsikowska pięć razy zupełnie zemdląa, bo ma aż szesnaścioro dzieci, a wszyscy mówią, że radca to buhaj, a nie żaden radca. A potem znów strzelili, a kiedy panią radcową wynieśli z kościoła i sznurówkę jej musieli na brzuszku rozwiązać, wtedy zagrało i dzwony zaczęły dzwonić i Pan Jezus zmartwychwstał. I już stróżka mogła wyjąć szynkę z garnka, bo mama mówiła, że ani na moment wcześniej, tylko aż usłyszy z fary dzwony, ale mama się tak okropnie płakała, bo choć Pan Jezus zmartwychwstał, to jej złoty zegareczek, kiedy klęczała ktoś sobie pożyczył i tato potem okropnie krzyczał, że niech dyabli biorą całą Alleluję, a tu ze 100 reńskich straty, ale na drugi dzień oddali, bo to tylko ukradł prezes Bractwa Różańcowego i „Towarzystwa Ubezpieczeń od nagłej i niespodziewanej śmierci“ stolarz Gońkiewicz i musiał oddać. A babcia, mama i wszyscy do późna w nocy wszystko przygotowywali, a tylko taty nie

było, bo dużo pieniędzy od gości wygrał i o 10-tej wieczór z domu wyszedł na komisję, a tylko babcia okropnie się złościła i mamę buntowała, żeby tacie wszystkie zebra połamała, albo mu pysków nabiła, i że tato nie na komisji, tylko u panny Salci Süsskind ciągle teraz wysiaduje i co zarobi w karty, to wszystko puszcza na żydówki, nie jest antysemitą, a tylko szelmą, a mama babci słowo dała, że tacie jutro głowę zmyje, a babcia mówiła, że i zęby mu całkiem powinna wyrwać albo wybić i potem myśmy dzieci zasnęli, ciesząc się na jutrzejsze święcone, a ja się modliłem i dziękowałem Panu Jezusowi, że już zmartwychwstał, bo będą jaja na twardo i szynka i torty i dużo gości, a tylko w nocy mnie myszy i szczury budziły, co chodziły po spiżarni i kosztowały wszystkiego, co było dla gości... .

...Ależ Teofilku! przerwała chłopczynie opowiadanie pani Bobo, rumieniąc się aż po bieluchny karczek (i to tak, jak to ona umie). Jak ty możesz!?... Teofilku co ty wypłatasz! Dajże już panu spokój, to są sprawy rodzinne, tego się nie opowiada gościom. Opowiedz o Tadeuszkcu może lepiej...

...„Aha“, przerwałem, „bajkę, jak niegrzeczny Tadeuszek panieneczkom do poduszek powkładał hiszpańskich muszek?“ Ech nie! Pocóż mnie ma bawić utworami

mojej własnej dydaktycznej fantazyi. Mów! Teofilku, co było w Niedzielę po Wielkiej Sobocie! mów, czemu się tak boisz Święconego, wielkiego śniadania i tych przepięknych zwyczajów staropolskich, które tradycja w całej niepokalanej czystości imponująco zwierzęcego obżarstwa i pijaństwa przechowała aż do naszych czasów? Opowiadaj!

...A w Niedzielę rano to nas bardzo myli i szurowali nam buzie, tak jak w Sobotę wieczór podłogi, a mnie dała Andzia nowe ubranie, a taty jeszcze w domu nie było, choć już dziewiąta rano i całą noc nie było i mama bardzo płakała i przysięgała babci się, że się zemści na tacie, a tymczasem stróżka zbiła dwanaście talerzy, więc dostała trzy razy w twarz i mama powiedziała, że się jej całą pensję miesięczną odtrąci, a ona płakała, bo ze stróżem wzięli od bociana dwanaście dzieci do chowania i tak za każdy zбитy talerz „jedno dziecko umrze z głodu“. A potem wszyscy nakrywali do stołu, a na środku dali garnek z rzerzuchą zieloną, z barankiem z cukru, a mama pokazywała mi baranka z cukru i mówiła, że to jest Bozia, a ja powiedziałem, że to nieprawda, więc mi mama dała klapsy, więc ja powiedziałem, że oskarżę księdzu proboszczowi, jak mama takie cukierki może

nazywać Boziami, to w cukierni na oknie stało całe stado Boziów. I kiedy nikt nie widział porwałem baranka i dałem Herodowi, psu, a on prędko zjadł i machnął ogonem, potem bardzo szczekał z radości i biegał i wywrócił babcię, która z kuchni zносиła długie kielbasy. Babcia uderzyła się o kant stołu i krew jej szła z głowy i leżała na dywanie i bardzo płakała ze złości i kazała psa zaraz zastrzelić, albo przynajmniej po sumie u fary, a potem i ja płakałem, że babci krew idzie z głowy, więc mi dała mama w skórę, a że się Waciu za mną ujął i mnie bronił, więc i on dostał lanie trzepaczką i hałas w domu był okropny, bo Herod tem się bardzo zirytował i biegał jak szalony i wściekły i przeskoczył stolik z kieliszkami i dwadzieścia kieliszków stłukł, a mama krzyczała, że będzie hołota musiała pić ze szklanek i strzeliła z rewolweru do Heroda, ale nie trafiła tylko w lustro paradne w salonie. Ale nie skryła się przed tem, jak zawsze na strychu, bo tato nie wracał, a Herod bardzo sobie łapy pokrwawił kawałkami zbitego lustra i wył w niebogłosy, tak, że aż ksiądz proboszcz przyszedł w komży i z kropidłem i z zakrystyanem i organistą, którzy już byli trochę upici i powiedział, że dziś musi po domach święcić, bo wczoraj przegrał dwadzieścia

pięć blatów, a potem miał tę szopkę w kościele. A to nieprawda, bo tylko na Boże Narodzenie są szopki w kościele i już nie miał humoru do łożenia i kropienia małżeńskich kielbas. A potem ksiądz proboszcz napił się koniaku i mówił po łacinie, a Herod bardzo czekał na zakrystyana i organistę, którzy się oblizywali na głos, patrząc na stół nakryty i babcia znów płakała, że to jej ostatnia Wielka-Noc, więc i ja się rozplakałem, a tylko mama z księdzem proboszczem pili wino i krajali jajka, a ksiądz proboszcz życzył mamie, aby co rok to prorok, a mama się rozplakała i mówiła o pannie Salci Süskind i że tato nie wraca ranki i wieczory i że ona się zemści, więc ja znowu płakałem...

...Tak? To ja jestem Bobo tylko twem narzędziem zemsty? — przerwałem Teofilkowi z pewnem rozczarowaniem i goryczą ciekawe opowiadanie, zwracając się do żmudnie szklane perełki na ornat naszywającej pani domu mecenasowej, czy doktorowej, (bo zawsze zapominałem, czem był w społeczeństwie galicyjskiem jej bardzo zacny i sympatyczny mąż).

... Nie mój najmilejszy! Jesteś mi narzędziem sprawiedliwości. Jesteś mi wogóle... I popatrzyła na mnie tak, jak tylko ona u-

mie: niezrównanie! A mały Teofilek, fikając nóżkami, kończył opowiastkę spiesźnie:

...Poczem zaczęli schodzić się panowie w czarnych surdutach o czerwonych twarzach i wszyscy mamie winszowali i żalowali, że taty nigdzie niema i zaczęli zjadać wszystko, co leżało na stole i wypijać bardzo dużo wina, bo korzystali z tego, że taty niema, a babci i mamy się nic nie wstydzili. A potem przyszli panowie belfry gimnazyalne z panem dyrektorem i te były najłakomsze, ale i naprawdę zato wygłodniałe, a już jeden, który w gimnazjum uczył rachunków, to widziałem, jak do surduta chował torty, co już nie mógł sam zjeść, a na szafie w przedpokoju schował butelkę wina, ale ja się tam wyspinałem i butelkę wziąłem, a na jej miejsce dałem butelkę wody, a potem przy stole mu mówiłem, że P. Jezus to przemienił wino w wodę, że ja wiem lepiej, żeby się ze mną założył, że go przekonam, a potem, kiedy mama szukała cygar, tom krzyknął, że pan aptekarz ma w surducie, bom widział ak je chował i mama mnie wyrzuciła od gości choć z daleka mówiłem gościom na pamięć „Powrót Taty“ a taty i tak jeszcze nie było, a potem wierszyk o Jadwidze. Wtedy babcia kazała na zatrask zamknąć drzwi od przedpokoju i nie puszcząć więcej nikogo,

a szczególnie taty, więc okropnie płakałem i plunałem na babcię, więc znów trzepaczką dostałem trzeci raz tego dnia kiedy Pan Jezus znów zmartwychwstał. A potem panowie śpiewali i niektóre bardzo ładne piosnki jak: Pije Kuba do Jakóba, Michał do Michała. Pijże i ty, piję i ja, kompanija cała. A kto nie wypije, ten jest socyalista! Łupu cupu po kozuchu! Niech go porwie trzysta! A potem wszyscy winszowali panu prokuratorowi, że taką piosenkę ułożył i zaintonowali bardzo mądrą i wykwinną piosenkę „Siedziały gołębie na dębie i skubały mech, a kto resztek nie wypije, bodajby zdechł“ i koniecznie chcieli pić z pantofelka mamy, ale że nie było pod ręką, więc pili wino z wódką z kaloszków babcinych, a potem się całowali wszyscy i płakali niektórzy panowie szczególnie z fiskusu i urzędu podatkowego i przysięgali się, że są „świnie“ i „łajdaki“ i znów się całowali a potem panowie z sądu też płakali i mówili że są „filistry“, „karyerowicze“, „lizusy“ „szwarcgelbery“, że sobie stołków podstawiają i że się oczerniają przed szefami. Ktoś powiedział księdzu kanonikowi, że jest karciarzem i szulerem, więc pan starosta Tarnowski wzniósł staropolskie „kochajmy się“, a dyrektor szpitala wołał: nie dajmy się a babcia siadła do fortepianu i grała okropnie mo-

cno wieniec polski walców Straussa, aby tylko przygłuszyć psa Heroda, który w przedpokoju wył okropnie, bo do drzwi dobywały jakieś złodzieje, a Andzia mówiła, że pewnie tato..... I potem było coś okropnego.

...Odpocznij może Teofileczku, — przerwałem chłopięciu, bojąc się jednak, aby istotnie nie przerwał swej opowiastki z lat sielskich, anielskich...

... E już do reszty proszę pana...Potem wywalili policyanci drzwi i wszedł tato, ale zupełnie bardzo pijany i z nim jakaś bardzo piękna panna biała z czerwonymi piórami a za nimi muzyka cygańska i grała czardasze i mama dostała spazmów, a babcia uciekła na strych, a ja okropnie płakałem, a Andzia chciała mnie położyć do łóżeczka, więc ją podrapałem po twarzy a ona mnie za to żelaznym pogrzebachem biła po plecach i kopnęła, a ja krzyczałem tylko do mamy, a potem ta panna Süskindówna u taty w kancelaryi na kanapie zasnęła, a muzyka grała całą noc, ja z mamą zasnęliśmy bardzo spłakani zamknięci w spiżarni a tylko przez ścianę słyszeć było bardzo ładną muzykę cygańską i Niech żyje nam, Vivat niech żyje nam, Alleluja, Alleluja, Alleluja! Siedziały gołębie na dębie.....

I malec zapatrzył się w przestrzeń a ja

i pani Bobo spoglądaliśmy po sobie... niewyraźnie...

...Ale tak już nigdy nie będzie, prawda panie, nigdy? mamusiu prawda, że nigdy, no powiedzcie! takiej Alleluji!!! I Nigdy! Teofilek zbladł.

... Nigdy dziecko, — uspakajała go mama, jedna z najładniejszych mam Zachodniej Galicyi.

... Nigdy Teofilku, — odrzekłem i ja.

GRAFOLOGOMONOMAN

(BURLESKA)



W onych czasach mieszkał Jacek Peupek tuż vis - a - vis konwencjonalnej złotości słońca, w latarni morskiej będącej wieżycą sterczącą dumnie czwartego piętra kasarni dochodowej urodzonego Jana z Oleju Cimirskiego.

Do mieszkania doczesnego jego t. j. Ahrymana i Stacha Ahuramazdy szło się po stu czterdziestu pięciu klawiszach zapadającej się klawiatury schodowej, polichromowanych dwucalową warstwą rodzimego brudu. Po ostatnim schodzie napotykało się wprost drzwi, na których swobodna ręka myślącego śnać człowieka wypisała szereg znaków abrakadabrycznych tej mniej więcej kompozycji:

D. O. M. K. M. B. T. A. T. T. W. AM. A. S. I.

— Co znaczą te bałwaniaste litery na drzwiach? — pytał mniej więcej co drugi normalnie ciekawy gość, wchodząc w interesujące swem zaparciem się cienia komfortu wewnątrz mieszkalne Jacka Peupka i Stacha Trismegista.

— Deo Optimo Maximo, Kacper, Melchior Baltazar. Tat twam asi. Czyli: wszystko mnie nudzi, — odpowiadał zwykle z objaśniającym ceremoniałem Jacek Peupek leżąc

zalany dosłownie światłem rozzuchwalonego brakiem jakichkolwiek rolet słońca. A gość zadowolony przeważnie siadał na jednym z jedynych stołków i rozglądał się do koła.

Z powały zwieszała się na dwóch fantazyjnie w węzły gordyjskie splątanych ręcznikach lampa chińska, przedstawiająca na jednej swej ścianie smoka państwowego, wystawiającego długi język militarnej Europy. Na ścianach w dwóch rzędach szły autentyczne sztychy illuminatów, przedstawiające sceny z piekła średniowiecznego. Róg salonu abnegacyjnego zajmowała potworna kanapa, kryta ceratowem szkliwem, na którym wylegiwał się w swych snach Szeherazady Sam: Stach.

Jacek Peupek sypiał na matce ziemi na wygodnie rozścielonych rocznikach pism efemerydalnej natury jak: „Iryda“, „Liście z drzewa wiadomości złego i dobrego“, „Atenais“, „Emporium Androgyny“, podkładając sobie pod głowę potężne cztery foliały zawieszanej już „Garkuchni Baala“, a okrywając się stertą olbrzymich afiszów zapowiadanego organu: „Trombity Antychrysta“.

Jedynym stołem „jadalnym“ całego apartamentu było czarne stare pianino głuchonieme z wiecznie śmiejąco-wyszczierzonymi zębami i z otwartą z góry czaszką, która

służyła za kredens gospodarski, nie przestając być wytworną biblioteczką książek, nie przedstawiających w obiegu antykwarskim nawet minimalnej wartości. W tej to szafie która po spuszczeniu klapy sprawiała wrażenie bardzo zbytkownego pianina, mieścił się też wspólny garnitur smokingowy obu dostojnych lokatorów, składający się z czarnych pantalonów frakowych, włoskiej aksamitnej kamizelki i... fraka misternego, pokapanego tyłu sosami, ile jubileuszów i rocznic obchodził naród w ostatniej wieku ćwierci.

— Wolimy obaj umeblowanie trzymane ściśle w tym stylu, tłumaczył gościom Jacek Peupek od fałszywego directoiru lub bardzo taniego rokoka.

I mówiąc to wydymał wargi po dorobkiewiczowsku i sięgał zwykle do kieszeni gościa, szukając pęku papierosów.

— Trudno jednakże, grać Chopina na podobnem... darujcie panowie: gracie.

Inny mówił wprost do Stacha:

— Ależ jak pan kszutusz swoją zmanierowaną Appassionatę na tym klekocie... drzewie... pudle... na tej ruinie?

— O nic łatwiejszego, — odpierał Stach ze swobodnym gościem zawsze ochotnego magika. Jacku Jacku! będziemy grali!..

I Jacek jak tknięty silnym prądem elektrycznym zrywał się z papierowej ale po-niekąd hieratycznej pościeli i w przykrót-kije koszulinie „pasterzy owiec“, wstydu ni-gdy pomny biegł na swych suchuteńkich peda-łach dumnem włosiem krytych do pia-nina i ze zręcznością automatu wyciągał zeń flaszki, szklanki, książki, bieliznę, garderobę, sta-ry jatağan turecki, karafkę kryształową, wieniec wawrzynowy, kilka par kaloszy, dwie dam-skie parasolki w czerwone róże, osiem to-mów Nietschego, wielki zapas świec stea-rynowych, flachę atramentu czerwonego i całe wogóle ruchome mienie. Układał to w wielką przysadkowatą piramidę, a Stach siadał i z pocziwą histerją szopenizował Griega i schumanizował Szuberta.

Zaś Jacek Peupek zwolna, zwolna.... ale sy-stematycznie wpadał w ekstazę.

Przy pierwszych taktach dobywało mu się z piersi głębokie akkordowe westchnienie. Poczem zwykle wstawał i heroicznym kro-kiem zgoła otchłannie zamyśłonego su-weryna ziemskiego przemierzył kilkanaście razy apartament. Wszeż i wzdłuż. Poczem sadowił się jakby przyczajony w rogu ce-ratowej ohydy, opierał boleśnie głowę na dłoniach i po dłuższej pauzie zwykle jęknął już z całą stanowczością i swobodą źle spę-tanego zwierza.

I wtedy jak na dane hasło, nawet przy Largamentach zwykle odwracał głowę Stach i nie przerywając sobie gry tylko poszeptował:

— Jedyne polskiego monopolu! Idź i przynieś, idź!

— Owszem! owszem Stachu — szeptał Jacek Peupek. I już zrywał się i nawdziewał na siebie piękne w swem groteskowym ubroku ubranie. Kratkowane w szachownicę.

W moment słyhać było ciężkie zapadanie się zmęczonych klawiszy schodowych, a Jacek Peupek zbiegał do „przepotężnej szynkareczki“ po taką świętą! mocarną! przepalankę. A potem wracał, tłukąc się bezlitośnie po schodach i niósł pękate szkła alikantu i stawiał z dziwnym wyrazem czułości na skraju pianina i czekał aż Stach Trismegistos w najwyższej passji kończył Apassionatę.

I wierny był ten Jacek Peupek i cichy. I posłuszny był i wszystkiemu potakiwał i na wszystko się zgadzał i wszystko chwalił co było chwalenia godne i czekał miesiące i lata jako statysta, aż na niego przyjdzie kolej zagrać jakąś bohaterską rolę w życiu. Dokoła wszyscy pisali wieczorami lub późną nocą bardzo misterne sonety. Tamci znowu dokoła nich pisali bardzo interesujące rzeczy o takich młodych bliźnich, co mają du-

zo czasu na pisanie sonetów. Byli i tacy, którzy na gwałt uczyli się kontrapunktu i kompozycji, aby następne dwadzieścia lat uczyć wszystkich, co trochę choć zapłacą, wygrania marsza żałobnego Chopina „na pamięć a z uczuciem“... Następnie byli tacy, którzy malowali portrety żon adwokatów przysięgłych, mających po nad 5,000 rocznej renty i „utrwalali notatki“ pejzażowe dla niecierpliwie domagających się honorarjum dentystów, dermatologów, liwerantów ubrania. — Wogóle wszystko pracowało, a w gazetach można było czytać o niesłychanym „rozroście ruchu artystycznego“. Jacek Peupek nie produkował nic.

Przed pompejański gmach salonu „Kompletnie niezależnych“ zajeżdżał co roku w pace nowy portret naszego znanego poety „Jacka Peupka“, robiony po kolei we wszystkich manierach miarodajnych. Ostatniego roku zwrócił notorycznie „powszechną“ uwagę Jacek Peupek uwieczniony w stylu Tooropą na tle sympatycznego gaiku pieszczeli ludzkich, trzymający a raczej zaciskający w dłoniach kurczowo: bańkę mydlaną. Tymczasem „subtelny wirtuoz delirji“, jak nazywano Jacka Peupka w potocznym języku, niczem a niczem dosłownie nie usprawiedliwiał olbrzymiego kredytu, jaki mu dano lekkomyślnie licząc na jego bajecznie skle-

pioną czaszkę i wspaniały guz genialności za lewem uszkiem. Nadal wylegiwał się na rocznikach pism ezoterycznych, ziewając tylko przeciągle, gdy w ich latarni morskiej na czwartem piętrze towarzystwo pomazańców zebrało się większe a dyskusya rzeczowa nabierała kolorytu przesadnie jaskrawego.

W ten sposób przepadła znów dla literatury przepotężna powieść o „Wolnomurarzach“, a Jacek Peupek przeczytawszy nad ranem jednym haustem broszurkę o Grafologii zasnął kamiennym snem człowieka, który w cztery godziny przesączył dwadzieścia pięć rubli, by obudzić się znowu późnym wieczorem z silnem nieprzepartem postanowieniem pchnięcia życia na zgola nne tory,... po ustawieniu silnej zwrotnicy materalistycznego oportunizmu.

Stach Trismegistos chodził jak zwykle po pokoju z rogu w róg, z kąta w kąt i mruczał od czasu do czasu dziwne słowa, które łatwo było przy pewnej dobrej woli i szczypcie fantazji wziąć za zaklęcia indyjskiego machatmy.

— Stachu! Stachu, szeptał zachrypniętym jeszcze głosem Jacek Peupekz papierowej pościeli! Pozwolisz, że zostanę grafologiem. Muszę. To mi się objawiło dzisiaj w nocy.

— Owszem, owszem Jacku Jacku! odparł Stach dobrotliwie stając przed nowoczesnym

Hiobem. Dodając zaraz jednak kostycznie: ale w nocy chyba nic ci się nie objawiło... ci się odbijało. A filologiem to zostań, zostań! To bardzo ładny zawód i bardzo zbliżony do zawodu kaligrafji, tylko że mniej myślący. Ale owszem, owszem. Wszyscy filologowie umierają przeważnie na uwiad starczy, który się u nich zaczyna w 30 roku życia. Zostań Jacku Jacku filologiem, zostań!

— Ależ nie filologiem Stachu a grafologiem!

— Owszem Jacku Jacku! Zostań grafologiem, zostań! To bardzo dostojny i sumienny zawód. W tym można do przepięknych rezultatów doprowadzić i ludziom bardzo wiele miłych chwil dać. Byle się odczuło miarę w mówieniu im samych dodatnich rzeczy. — Ponadto to bardzo miła śmierć. Zostań Jacku fonografem... to jest grafologiem, zostań! To bardzo wspaniałe stanowisko!

— Nieprawdaż? — Bardzo ładne stanowisko? — Więc zostanę. Chyba ten zawód nie skazi niczem mego powołania kapłańskiego w sztuce.

— Niczem Jacku, Peupku!

— Dziękuję ci Stachu. — I Jacek Peupek porwał się szparko z papierowego legowiska, pobiegł do muszli wodociągowej by się gruntownie umyć, (aczkolwiek był to dzień powszedni), i już w ten sposób ma-

nifestacyjny zaznaczyć, że u niego rozpoczyna się nowa era dla biografów następnego pokolenia.

— Nadto uważasz Stachu, muszę być sławnym, gdyż inaczej nie mógłbym zostać mężem panny Melanji. Nie wypadłoby mi pod żadną miarą. — A pisać mi się absolutnie nie chce. — Więc co zrobić w tem położeniu?

— Masz wszelkie kwalifikacje na głodomora. — To co praktykujesz prywatnie Jacku Peupku, teraz spróbuj publicznie, a zostaniesz takim przepotężnym polskim Succim.

— Ech to nie Stachu, wolałbym coś mniej sensacyjnego i nie tak krępującego.

— Załóż wspaniały Słowiański kabaret.

— Ech i to nie. — Ja chciałbym coś uważasz, do czego nie potrzeba absolutnie żadnych popularnych erudycji, żadnej kwalifikacji, żadnego wysiłku, żadnej pracy biednego ludzkiego rozumku.

— A to zapewne serja odczytów naukowych.

— Oto to to! Dziękuję ci Stachu! — To to będzie najlepsze! To mi da prawo ubiegania się o pannę Melanję.

...Cykl odczytów, olbrzymich, głębokich a krzepkich odczytów; na przykład o mistycyzmie, nie?

— Ej nie Jacku Peupku! Lepiej coś swojego.

— O moich Wolnomurarzach.

— Wolnomularzach! Jacku Jacku! Dokąd ja cię będę uczył tego słowa.

— Wszystko jedno Stachu. Tam, gdzie ja się urodziłem wszyscy mówią wolnomurarstwo.

— To źle mówią!

— Kto wie?

— Ja wiem Jacku Jacku Nadto wiem, że, powinienes mieć odczyt o „Śnie“. Ty śniesz zawsze nad ranem takie przepotężne wizje toś je powinien utrwalić, a będziesz sławny i sięgniesz wysoko. I ożenisz się wspaniale, tylko spróbuj!

— Kiedy ja obudziwszy się, zawsze zapominam doszczętnie co śniłem.

— To nic! ale masz takie przeświadczenie, że ci się śnią niesłychane kosmogonje! To powinno ci wystarczyć.

— A to spróbuję Stachu.

— Owszem owszem Jacku Jacku!...

I Jacek Peupek spróbował!

Wielka sala klubu literacko-artystycznego „Paranoja“ ledwo zdołała zmieścić zbitą ciżbę inteligencji autochtonicznej. Na trzy dni poprzedzające ogłaszały po kolei gazetki komunikaty subtelnej a nęcącej treści. A więc, że prelegent jest chrzestnem dzieckiem króla Leopolda belgijskiego. A więc, że prelegent przez całe pięć mieszkał w Łodzi

a piętnaście w Zgierzu i jest młodziutkim, bo zaledwie dwadzieścia trzy lat liczącym, młodzieńcem, więc że prelegent jest mańkutem i ma lewe oko szklanne, a więc, że odczyt będzie trwał z zegarkiem w ręku 57 minut i 36 sekund...

Wskutek tego sala była nabitą indywidualizmami ludzkimi po brzegi. A kiedy Jacek Peupek lekko zawiany czterema kieliszkami „mocarnej przepalanki“ wkroczył na estradę, fanatycznemu frenetyzmowi rozentuzjasmowanej publiki zabrakło końca. I Jacek Peupek mówił. Zaczął od tego, że sen jest to niepojęta, niezgłębiona ale przepotężna tajemnica, „ciągająca się od rana do późnego wieczora“ ale bardzo często szczególnie u „przeciętnych“ dodał ze złośliwą intonacją, „podobno od wieczora do rana“.

Następnie oświadczył kategorycznie, że sen jest to coś, bez czego by biedna ludzkość absolutnie „niewytrzymała“, tak jak bez śmierci lub wogóle bez urodzenia „również w żaden sposób“. Ale,... że tak śmierć jak, urodzenie ludzkość umie obejść, odłożyć przeciągnąć, że w tym kierunku medycyna i chirurgia, doprowadzały do fenomenalnych rezultatów, tak że na „upartego“ można się nawet nie urodzić, a dojdzie do tego, że i umierać nie będzie trzeba koniecznie. Ale Sen jest mocniejszy od Śmierci

i spać „będzie trzeba“ zawsze! Atoli jak należy spać? pytał Jacek Peppek uretorycznym zwrotem duszącą się w ścisku publiczność. Otóż przedewszystkiem „dobrze“ a potem smacznie, głęboko, higienicznie (podniesionym głosem) hy-gje-ni-cznie! A więc nigdy nie trzeba zasnąć tak głęboko, żeby niemożliwem było przebudzenie się! Następnie nie należy zasypiać w windzie hotelowej, w tramwaju elektrycznym i przy spinaniu się na wysokie szczyty, np. na Garłuchowy „lub wogóle na Babią Górę“. Hygienicz-nem natomiast jest spanie w teatrze w przerwach między dwoma antraktami, a już zupełnie bezpiecznem i wygodnem jest spanie przy biurkach i w kancelaryach. Bardzo wiele zależy od pozycji, w jakiej się zaśnęło; gdy kto oparł nogi o stół, a głowę na podłodze ten śpi stanowczo mniejwygodnie od tego, kto położył się na brzuchu pod łóżkiem,... choć stanowczo najniebezpieczniejszem jest spanie na drabinie, prowadzącej na piąte piętro. Ciekawym dalej fenomenem jest to, że „murarze“ na rusztowaniu dachu kamienicy sześciopiętrowej w żaden sposób zasnąć nie mogą. A już nie zdarzył się absolutnie ani jeden, statystycznie! ani jeden wypadek zaśnięcia strażaka ogniowego, pędzącego na sikawce ku miejscu pożaru! Ciekawym jednakże byłby

eksperyment naukowy: czy człowiek, który zasnął twardo stojąc na jednej nodze ma sny przyjemne czy groźne. W tym kierunku ma nie jeszcze żadnych badań, ale jest nadzieja, że hypnolodzy... itd.

Straszną plagą ludzkości jest tak zwana bezsenność, ciągnął dalej Jacek Peupek obtarłszy zielonym fularem czoło zroszone potem.

Kto cierpi na bezsenność, ten, (dowiedzonym to faktem), absolutnie zasnąć nie jest w stanie. Jedynym środkiem zaradczym jest to, że trzeba się strzedz bezsenności! A kto już na nią cierpi, powinien czekać z zaśnięciem, aż bezsenność przejdzie! Drogą empirycznych badań, przyszli ludzie do pewnika, że tak w kręgielni, jak i np. na fortepianie choćby z najlepszej fabryki o ile ktoś gra na nim rapsodje Liszta zasnąć jest trudno. Natomiast dobra książka filozoficznej treści jest znakomitym środkiem prewencyjnym przeciw bezsenności. Należy tylko zawsze czytać ją przed, a nie jak to często bywa, po zaśnięciu. Również plagą ludzkości jest chrapanie; dla wielu tak wstrętne, jak dla innych bezsenność. Dlatego obowiązkiem kulturalnego człowieka jest zaraz, skoro spostrzeże że chrapie, obudzić się i nie zasnąć wprzód, aż absolutnie przestanie chrapać. W nocy należy spać już rozebra-

nym, byle nie rozbierać się jeszcze przed domem; mniej więcej trzeba się też starać spać snem t. z. uczciwego człowieka, a już absolutnie nie w ciasnych bucikach... A teraz przejdziemy do samej istoty snów i do snów t. z. genialnych jednostek! Czem jest więc sen jako pojęcie metafizyczne zapytuję?...

...I tu Jacek Peupek wstrząsnawszy lwiał grzywą, powiódł okiem satrapiem po publiczności. Odczyt dokazał celu: tysiąc ludzisków przed godziną rozbawionych i bardzo gwarnych, pełnych temperamentu i pięknie strojnych spało teraz jakimś zakamieniałym snem pielgrzymów strudzonych całodziennym pochodem w pustyni bez wody; tysiąc wesołych, mających wiele czasu do stracenia i w nocy wyspanych jednostek towarzyskich zasnęło teraz upornym snem ludzi znudzonych ciężką fizyczną pracą. Panie i panowie oparci zgodnie o siebie, pochyleni nad laskami i parasolkami, cały parter stojący głowa przy głowie, cały balkon tak ruchliwy i hałaśliwy, wszystko w sali spało zadrżmane. Ba! nawet przy drzwiach wchodowych oparci o parapet spali dzielni bileterzy: „Paranoji“ z pękami kontramarek w kurczowo zaciśniętych rękach.

...Niech śpią, myślał Jacek Peupek byłem teraz na finale obudził sprawozdawców dzien-

nikarskich! I podniesionym głosem powtórzał Jacek Peupek: Więc czemuż jest, zapytuję tedy sen, abstrakcyjnie biorąc jako pojęcie metafizyczne? Otóż sensacją! Sensacją uśpionych zmysłów! niczem innym!...

I dopiero na to słowo, jak prądem elektrycznym tknięty obudził się jednym ruchem cały trzeci rząd foteli sprawozdawców dziennikarskich.

...Sensacją uśpionych zmysłów, potężniejszą od pracy biednego ludzkiego mózdzku Na tem moją prelekcję dzisiejszą zamykam..

I huragan frenetycznych oklasków nagle przebudzonej publiczności był zasłużoną nagrodą za przerwanie snu, który zapowiadał się być kamiennym. Publiczność nabywszy za stosunkowo małą cenę nową znakomitość narodową powoli rozchodziła się do domów. Jacek Peupek zaczął być sławny.

Kiedy znów żwawym krokiem zasłużonego społeczeństwu gentlemana pognał z wielkim zapasem gotówki na szachy do pocztowych żydków w kawiarence pod firmą dziwniej kombinacji: „Chodkiewicz, Moniuszko i Spółka“, nagle zabiegł mu drogę wysoki tęgijego z czarnymi szklami na oczach i opierając ciężką rękę na ramionach zaczął brutalnie;

...Pan Jacek Peupek. Nieprawdaż? Jestem Nadwzmiankarzewicz. Redaktor: „Rodzimego

Kamelota". Angażuję pana do węzów morskich wszelkiego formatu. Byłem na jego konferencji. Coś podobnego rzadko dziś się spotyka. Spałem jak bóbr, ja, który od dziesięciu lat cierpię na bezsenność!! Pan masz potwornych dymenzji talent kręcenia biczów z piasku. Płacę panu na początek pół kopy od wiersza. To u mnie przeciętna płaca. Zobaczymy co czas przyniesie. Nadto poszukuję grafologa i roznosiciela premiiów dorocznych. Gdybyś pan coś wiedział, płacę osobno. Na razie brak mi czasu. Żegnam pana i oczekuję.

Oczywiście Jacek po upływie kilku nocy z szachistami zgłosił się do pana Nadwzmiankarzewicza. Odtąd każdy numer Rodzimego Kamelota przynosił fenomenalne artykuły jasiowe o niesłychanie wiabiącej, a excentrycznej treści, cokolwiek zbliżonej do podobnych przysmaków w innych organach ale zawsze rozfantastycznionych bajecznem piórem Peupka. Do najsensacyjniejszych należały: Kuchnia króla angielskiego, Kiedy w Europie zabraknie soli? Obchód wigilijny u ludożerców. Życie milionerów amerykańskich. Jak wielkie jest cygaro wypalone przez 60-letniego starca palącego od pięćdziesięciu pięciu lat? O poławianiu fok w cieśninie Behringa. Żywcem zagrzebana rodzina pastora. Ile pensji pobierają najznakomitsze

szansonistki? Excentryczne dziwactwa rozmaitych staruszków. O pewnej cheszcze, która przez dwa lata rodziła piątaczki. Jak dzień spędza Papież? O gentlemanie, który w pudełku od cylindra objechał cały świat. O redutach w klubie głuchoniemych, O wysuszeniu Wenecyi; Jak się fabrykują perfumy „Ideal“ i t. p.

Z pomiędzy tych artykułów jednakże istotnie paniczną sensację wśród czytelników i ich znajomych i krewnych tychże znajomych wywołała hipoteza Jacka Peupka, o gwałtownem wymieraniu ludzkości, przeprowadzona ściśle indukcyjną metodą rozumowania, zatytułowana skromnie: „Koniec świata“, Otóż „głęboki publicysta“ Jacek Peupek obliczał ściśle i matematycznie; każdy człowiek współczesny nam, ma „tylko dwoje rodzonych rodziców“, ale czworo dziadków, ośmioro pradziadków, a szesnaście prapradziadków i w ten sposób, aż do kilku milionów praszczurów. Pokazuje się tedy, że w wiekach poprzednich nie mniej, ale znacznie więcej żyło ludzi na ziemi. Przed stu laty mniej więcej osiem razy tyle, przed dwustu laty sześćdziesiąt cztery razy tyle, jeżeli się na wiek skromnie liczy po trzy generacje. Stosownie do tego więc w roku 2100 będzie żyła tylko sześćdziesiąta czwarta część nam współczesnej ludzkości, a w 33 lata potem

liczba ta się zmniejszy o połowę. Obecnie już tedy trzeba najmniej osiem współczesnych świadomych celu jednostek, aby mogły wywołać egzystencję jednego choćby prawnuczka, a wobec celibatu, starokawalerstwa, rozmaitych systemów i nałogów horoskopy na przyszłość ludzkości przedstawiają się beznadziejnie. Wymarcie grozi lada rok...

„Koniec świata“ Jacka Peupka wyrozumowany z druzgocącą wszystko logiką, doprowadził do formalnej wojny prasowej wszystkich przeciw wszystkim. Teoria Peupkowa znalazła namiętnych i żarliwych zwolenników, jak również bezwzględnie zwalczających ją przeciwników, którzy napiętnowali Jacka (zresztą może przesadnie) filozofem destrukcji, gorszycielem młodzieży, szerzycielem desperacji, matołkiem i dekadentem.

Zachęcony tak poważnem uznaniem sfer sterujących opinią publiczną, odpowiedział Jacek Peupek bardzo kategorycznie wszem swoim przeciwnikom śmiałym dalszym ciągiem rozprawy o „Końcu świata“, w którym opierając się już na poprzednich rozumowaniach dochodzi do konsekwencji sprawiających zawrót głowy, a możliwie i kołowaciznę. Przekonawszy się tedy, że nasi pradziadowie mnożą się w przeszłość w biliony, uznając granice możliwości wyżywienia ludzi na ziemi, doszedł Jacek Peupek do przekonania, że

historja ludzkości liczyć może tylko 3 wieki. I że koło 1600 roku ludzkość liczyła okrągły bilion głów. Więcej zaś na mocy żelaznego „prawa Malthusa przez Kanta i Newtona wspólnie odkrytego“, ziemia wyżywić nie jest zdolna. Należy tedy przypuszczać dalej, że dwa biliony rodziców, żyjącego koło 1600 pokolenia wymarło przeważnie z głodu; w każdym atoli wypadku, historja ludzkości zaczyna się z trzydziestoletnią wojną dopiero, a wszystko co poprzedza te lata, to legendy, baśnie i mitologja. Pochozimy tedy nie od jednej pary ludzkości, a od okrągłego biliona, a Adam i Ewa będą przedostatnimi ludźmi na kuli ziemskiej, którzy spłodzą ostatniego człowieka. Czy nim będzie Kain czy Abel, tego nauka na razie przewidzieć nie może, tembardziej w embryonalnej fazie tej gałęzi kosmogonji, której założycielem niejako był Jacek Peudek „subtelny wirtuoz wizji“ i nasz „znakomity kosmogonista“.

Ale grafomanja artykułów, znanych pod pseudonimem „wężów morskich“ nie absorbowowała zbyt mózgu Jacka Peupka i nie tykała ani pierwszego naskórka jego otchłanej duszy, gdyż Jacek Peupek za powołanie swoje na ziemi uważał zasadniczo: grafologję i starał się sztukę tą podnieść do rzędu nauki okkultystycznej, do charakteru magii

odkrywania najdalszych tajni duszy ludzkiej do typu tych tajemnic dziwnych derwiszów „chaldejskich”, przechowywanych i przekazywanych od kapłanów przez całe wieki i pokolenia. Jacek Peupek grafologię uważał za siostrę przyrodną chiromancji, a chiromancję stawiał bardzo, bardzo wysoko, szczególnie powołując się na to, że niegdyś przez kilka miesięcy odnajmował pokój od pewnej starej kabalarki, nie uiszczając się absolutnie z obowiązującego czynszu i „przez ten czas miał czas” posiąść najzawilsze tajniki sennika egipskiego, sztuki wrózenia z kart, z gwiazd, z rąk ludzkich, z nóg, słowem wszystkie: arcana coelestia. Teraz ślęcząc w pokoju pod oknem, nad broszurką o grafologii przeprowadzał Jacek Peupek dziwne analogje i duchowe pokrewieństwa między teorjami pana Crépieux-Jaumena a teorjami „Agnieszki Pęcak, (gdyż tak nazywała się w urzędowych meldunkach tajemnicza kabalarka). Zwolna, ale konsekwentnie, głęboki a jego poważny umysł przechodził do frapujących wyników. Oto najwspanialsze wyniki badań naukowych francuskich dziwne znajdowały echo i jakby podkład faktyczny w tajnej wiedzy przechowywanej wśród ludu polskiego. Jacek Peupek dokładnie pamiętał, jak do... Agnieszki Pęcak przychodziły listy, wzywające ją do prywatnych domów na seanse kabalisty-

czne, a pocziwa staruszka po każdym liście odgadywała materyalne położenie i społeczne stanowisko wzywających ją do siebie dam. Bywało np. przy obiedzie, Jacek Peupek siadał na jednym rogu stołu niewyspany, dawszy w noca szesnaście matów rozmaitym cudzoziemcom i przechodniom kawiar-nianym — a staruszka-czarownica z drugiego końca stołu nalewała żur do wielkich cynowych talerzy i opowiadała.

...O znowum dostała trzy listy dzisiaj i to zapowiada, że bardzo wiele z nich pieniędzy będzie panie Jacek Peupek. Ja tam się znam. Po piśmie zaraz poznałam co i do kogo... jeden zaraz poznałam, że od pewnej hrabiny i to co od niedawna są hrabiami, bo i na kopercie i na liście korony hrabiowskie i herby. A drugi to zaraz po piśmie poznałam, że od żydów, ale bogatych, śmierdzący bardzo był czosnkiem i papierek trzyrublowy w nim, byłem tylko przyszła. Ja tam zaraz poznam...

Jacek Peupek dokładnie przypominał sobie te i inne fakty z współżycia z wrózką Pęcakową ongiś przed laty, wiązał ich finalne kwintescencje z rezultatami badań uczonego paryskiego. Nic tedy dziwnego, że do redakcyi Rodzimego Kamelota wchodził z dziwnie tajemniczą i nie odcyfrowaną miną i że w najpotoczniejszej mowie z ko-

legami, referentami od sukien balowych i koncertowych, referentami od giełdy, pożarów, wody, zderzeń tramwajowych, od sprawy bałkańskiej, handlu żywym towarem itp. z największą łatwością i swobodą używał często takich słów jak: teodicee, metampsychoza, gnozis, ezoteryzm, astrofizyka i t. d. Nie mogło coś podobnego ująć bezkarnie, bez następstw. Wiadomo nadto dobrze, że Jacek Peupek mieszkał wspólnie z panem Trismegistem, który notorycznie otaczał się inkubami i sukkubami i w biały dzień odprawiał czarne msze szatańskie. Wskutek tego w krótkim czasie i bez wielkich zachodów, po kilku małych naradach, Jacek Peupek został ogłoszony „mistycznym“, a z czasem, gdy przymiotnik ten spowszechniał, Jacek Peupek został awansowany wprost na: mistyka. Chwalono się nim nawet dość nahalnie... A, mamy w naszej redakcyi i mistyka... jest nim znany grafolog Jacek Peudek; albo ...nie każda redakcja może się tak poszczycić posiadaniem grafologa i mistyka w jednej osobie albo ...o! o! o! w naszej redakcyi nawet grafolog jest mistykiem i t. p. I samochwalstwom takim nie było końca.

Więc autorytet Jacka Peupka rósł i w oczach panny Melaniji, gdyż pogłoski o jego uwieczonych powodzeniem naukowych badaniach, o jego epokowych emanacjach pu-

blicystycznych i jego jawnowidzeniu grafo-
logicznem. potężniejącem na tle mistyczne-
go światopoglądu rozchodziły się coraz szer-
szymi kręgami. I panna Melanja rosła w dumę
ze swego wygnańca i tyła już z samego
przeświadczenia, że w krótkim terminie po-
ślubioną będzie „znanemu naszemu misty-
kowi“, a tylko jeszcze ociągała się z osobi-
stem przekonaniem się o potężnym darze
niebios Jacka Peupka. Z dnia na dzień odkła-
dała przesłanie próby własnego pisma do
redakcji Rodzimego Kamelota „na ręce Sza-
nownego Pana Grafologa“. Z jednej strony
bowiem cicho przyznawała się w sumieniu
do pewnych zasadniczych wad charakteru
jakoto: łakomstwa i obżarstwa, kłótności,
grzesznego zamięłowania jedwabnej bielizny,
pessimistycznie - gorzkiego zapatrywania na
charaktery swych przyjaciółek, żądzы sie-
dzenia w parterowych łóżach wyłącznie; da-
lej namiętności noszenia jedwabnej halki „na
codzień“. Bała się słusznie, aby grafolog dro-
gą oficjalną odpowiedzi drukowanej nie skon-
statował tych wszystkich ułomności jej psy-
chy. Z drugiej zaś strony nie była w stanie
zwalczyć w sobie pewnej nieufności w gen-
jalny dar wybranego sercem na męża gra-
fologa i obawiała się (chyba zgola niesłu-
sznie) odpowiedzi oficjalnej, każdym słowem
przeczącej tym obrazom, epitetom i prze-

nośniom, jakie bujnie rozsypywał Jacek Peupek w prywatnem pożyciu: anielska, słodka, archanielska, przesłodka, przepotęzna, boska, przeboska, przejasna, nieziemska!!!

Miesiące upływały, panna Melanjia próbki swej nie nadsyłała a Jacek Peupek co prawda ani jednym słówkiem nie odezwał się w tym kierunku zachęcająco, ba nawet widoku jakiegokolwiek karteczki z pismem jej unikał starannie. A gdy pewnego razu na stole w salonie napotkał dużą kartkę ze spisem brudnej bielizny panny Melanji, odwracając głowę w drugą stronę, (jakby z bezbrzeżnego zawstydzenia), kartkę tą skrzętnie zakrył. I w nim bowiem obawa odkrycia jakichś beznadziejnych czarnych czeluści i zwyrodniałych zbrodniczych instynktów i demonicznych chuci w duszy panny Melanji walczyła z lekką, ale dziwnie silną obawą, czy cała przepotęzna ezoteryczna wiedza grafologii, nie zawiedzie się fatalnie w tym jednym jedynym wypadku, i czy certyfikat znakomitego grafologa nie zaprzeczy każdym sądem, każdą definicją ukochanemu obrazowi zakochanego Jacka Peupka. Dlatego Jacek Peupek panny Melanji do eksperymentu tego ani jednym słówkiem nie zachęcał, ale z tem większą zajadłością i namiętnością odpowiadał stronom, coraz liczniej zgłaszającym się listownie do Redakcji Kamelota.

W listach musiały dołączone być marki pocztowe i te to mareczki, zręcznie wysuwane z kopert leżących w stertach na biurku Jacka Peupka następnie zamieniane na gotówkę, stanowiły bardzo piękny dochód dzienny Jacka Peupka doprowadzający zresztą do ataków konwulsyjnej zazdrości, np. kolegę Kaspra Morowca, referenta spraw ekonomicznych, skończonego filozofa i jurystę, a sąsiada redakcyjnego z biurka po lewej stronie. Doktor Morowiec, słysząc charakterystyczne darcie kopert Jacka Peupka i głośnie jego liczenie: 20, a 40, a 70, a 160, a 210 i t. d., bladł zwykle, podnosił głowę do góry, przerywając sobie pisanie mozolne np. „o browarnictwie w Holandji“ i wygłaszał świszcząco do wszystkich: „no patrzcie panowie do czego głupota bydlęca nie dochodzi“? Wskazywał przytem na manipulację z markami Jacka Peupka a wreszcie splunąwszy z obrzydzenia i odrazy do „współczesnych nam stosunków“ pisał dalej. A Jacek Peupek odliczywszy mareczki skrupulatnie, na długich świstkach papieru komponował bajeczne głębią swego znawstwa i pomysłowością różnorodności epitetów odpowiedzi.

I rzecz dziwna. Jeżeli Jacek Peupek był dobrze wyspany, mareczek było bardzo a bardzo dużo, panna Melanja poprzedniego dnia łaskawszą, a niebo wogóle pogodniejsze,

to i w charakterach „osób ciekawych o siebie“ przebijało się więcej słońca, pogody i jasności natury ludzkiej. Jeżeli jednak zanosiło się na deszcz i w kolanach „łypało“ od pocziwego reumatyzmu, nadgniotki dokuczały — mareczek było mniej, noc niewyspana, a doktor Morowiec złośliwszy i zgryźliwszy niż zazwyczaj, to i ciekawych charakterów czytelnicy „Rodzimego Kamelota“ bardzo cierpkich i gorzkich prawd dowiadywali się o sobie. Dzień taki był dniem prawdziwego Sądu Pańskiego, a sylwetki Jacka Peupka nieubłagane. N. p:

Elsinoe z Częstochowy. Delikatności niema zakopiejkę. Upór bezgraniczny i samowola. Umysł ciemny i złośliwy. Żadnych wyższych upodobań, ani cienia religijności. Histerja niemożliwa i tendencje do perwersyi. Litery a, b, c, d, e, f, zdradzają skłonność do pijaństwa, szczególnie piwa rygskiego. Temperament chłodny i galaretowaty. Talentu żadnego za grosz. Nadto nie pisze się: Alpuharra, tylko Alpóchara! Żegnam.

Mefistofeles z nad Wieprza. Dużo serca i moc bezmyślnej uczuciowości. Woli żadnej, hartu żadnego, płydką inteligencją wieśniacza i ciężkość dobrej myśli. Pismo jest sztucznie nienaturalne i głupie, a niby oryginalne. Ale grafologa oszukać nie mo-

zna mój panie! Kropki nad i, wskazują rozpróżniaczony sybarytyzm. Demoniczności ani śladu, zato przeciętny groszowy snobizm. Do widzenia!

I w tym tonie arcysurowym, ale skondensowanym sypały się odpowiedzi Jacka Peupka: „Amatorowi kwaśnych jabłek z Senatorskiej, Małej Bebe Roze z ulicy Freta“, Dziczczę z nad Wisły, Sekutnicy z hotelu, Marji Magdalenie, Samotnemu Duchowi z Nowego Świata, Damie Pikowej, „Chcącemu być baronem“, Wesołej Meduzie, Damie Kameljowej z cukierni Jackowskiego, Zwykłemu mydlarzowi, Nadczłowiekowi z VI Gimnazjum i t.d. Wiele śmiertelników zgadzało się z pewną determinacją na niemożliwe surowe etykiety Jacka Peupka wnikało w siebie głębiej otrząsało się z wad przyrodzonych, czy nabytych. Wiele dam, Trzpiotek, Perełek, Naiwnych z ulicy Gnojnej, Jaskółek, Nieznajomych, szło do spowiedzi i kajało się w skrusze. Wielu gentlemanów dziwiło się niepojętemu jasnowidzeniu Jacka Peupka, który wszystkim w czambuł zarzucał „brutalny egoizm“ sybarytyzm, płytkość myśli, brak zmysłu społecznego; lekkomyślność itp. Ale trafiały się natury rogate i harde, które grafolog napiętnował jako zniewieściałe i miękkie; albo natury buntownicze, które Jacek Peupek nacechował jako „baranio łagodne“

„z gruntu niewolnicze“ i te reagowały nadzwyczaj silnie i bezwzględnie na Jackowe pręgierzowe charakterystyki. Odwrotną pocztą przychodziły na ręce Szanownego Grafologa, albo wprost do naczelnego Redaktora Pana Nadwzmiankarzewicza listy, uskarżające się na „oszustwo“ lub na „bezdenne nieuctwo“, blagę! „indywiduum podszywającego się na stanowisko grafologa, kiedy powinien świnie taki paść“. Jacek Peupek zbierał te wszystkie epistoły do osobnej szuflady w biurku, którą nazwał melancholijnie: „Archiwum niewdzięczności ludzkiej“, a tylko trapił się, kiedy do jego biurka szedł z wesołym uśmiechem od drzwi sam pan redaktor i ze złośliwym, ale zawsze jowialnym grymasem wręczał mu nowe impertynencje i niesłychane obelgi, pochodzące jednak bądź co bądź od jednostek z charakterem „zdecydowanych na wszystko.“ Zdarzyło się raz, że dwóch panów, którym Jacek Peupek odpisał, że z zakrzywienia litery s i z, można się u nich domyslić łatwo „namiętności do fałszowania pieniędzy papierowych“, poznało się dziwnym jakimś przypadkiem przy okienku któregoś z modnych z lombardów w chwili, kiedy jeden z nich zastawiał ostatni parasol, a drugi parę kaloszy. Poznawszy się, wprost z lombardu poszli sobie razem na kropelkę koniaku, przy tej

sposobności zwierzyli się z charakterystyk „Rodzimego Kamelota“ i wypiwszy bruder-szaft, udali się wprost pod redakcję, aby czyhać na wychodzącego Pana grafologa i wygrzmocić mu pleców za tak beczelne pomyłki. A że właśnie wychodził z drzwi szklanych doktor Morowiec, ukończywszy w pocie czoła większą pracę pt.: „O potrzebie kolejek wąskotorowych tam, gdzie niema miejsca na szerokotorowe“, a palto miał i cylinder zupełnie podobne do Jacko Peupkowych, (bo także obszargane) więc fatalnym zbiegiem okoliczności ciężkie lanie przypadło w udziale „cenionemu ekonomicznie“ dr. Morowcowi, a zgietkliwe okrzyki: „masz za fałszowanie pieniędzy!“ masz za „kryminalistyczny temperament!“, masz za „cechy typowe kleptomanii!“ oszołomiły do tego stopnia doktora obojga praw i wybitnego uczonego, że ledwie żyw zdołał uwolnić się z nieprzyjaznych objęć, tłukących mu kości czytelników „Rodzimego Kamelota“. Pod ten czas Jacek Peupek wygodnie siedział sobie w bocznej salce kawiarenki: „Chodkiewicz, Moniuszko i Ska“ i cierpliwie czekał na znakomitego szachistę Joe Philipsona, który poprzedniego dnia przybył wprost z Chicago, aby w Europie widzieć Papieża, kopalnie wielickie soli i ze słynnym Polakiem Peupkiem przegrać dwie partje.

W dwa dni po śmiertelnem pobiciu doktora Morowca Jacek Peupek dał na zapowiedzi i oświadczył Stachowi Trismegistosowi, że się podaje z nim o separację od stołu i łoża, gdyż wchodzi w związki małżeńskie.

— Ożenię się Stachu. Będiesz z nami, będzie się w piecu chronicznie paliło, będę miał prawdziwą pościel płócienną, wszelkie wygody, obiad co dzień i swój zegarek i dwoje dzieci pewnie i wtedy napiszę przepotężną powieść o polskich wolnomularzach.

— Owszem, owszem Jacku Peupku! Ale wolnomularzach, jeśli wolisz?

— Tam, gdzie ja się urodziłem, mówią wszyscy: murarz, murarstwo.

— To głupio mówią Jacku mistyczny.

— A niech ci będzie Stachu! Ale drużbą mi będziesz?

— Owszem, owszem Jacek Peupek. Wspaniałym ci drużbą będę, tylko się żeń, nim cię przepotężny pan Nadwzmiankarzewicz przepędzi z „Rodzimego Kamelota“.

I Jacek Peupek spieszył się do żeniaczki wszelkimi siłami młodości. Ponieważ panna Melanja nie życzyła sobie mieszkania na drugim lub trzeciem piętrze, więc wynajął na... czwartem. Poczem dwie długie godziny przepędził w łaźni rzymskiej, doprowadzając czystość ciała do olśniewającej białości.

Poczem dla urządzenia mieszkania kupił piękne wieszadło do przedpokoju, garnitur kieliszków do wódki, dwa tuziny ręczników, kołyskę na biegunach, puszkę blaszaną na listy. I pełen głębokiego moralnego zadowolenia- pognął do panny Melanji, aby jej długo i szeroko opowiadać o swoich ciężkich, przedmażeńskich trudach. Cicho, jak zwykle, wszedł sobie do saloniku i usiadł (jak zwykle) pod piecem, kiedy oko jego padło na arkusik żółtego papieru na stole ze stampillą Redakcji Kamelota, położony ostentacyjnie na najwidoczniejszym miejscu. Jakby przecuciem tknięty (jasnowidzącego zawsze posiadacza tajemnic telepacyjnych) posunął się Jacek Peupek ku stołowi, sięgnął ręką. I oto pod pierwszą kartką leżała druga, obie szczelnie zapisane znajomem mu piśmem: swoim własnem. Jacek Peupek wstrząsnął się dreszczem przestachu i dzwoniąc zębami zaczął czytać swoje obie charakterystyki przyszłej żony i przyszłej teściowej, wypisane kilka dni temu po dwóch nocach, spędzonych na absolutnem pijaństwie, przegranej słynnej partyi z amerykańskim championem szachów sir Joe Philipsonem i po zaciętej kłótni z doktorem Morowcem, w której cenionemu ekonomiście wytłómaczył jasno i dobitnie śmieszność biednego ludzkiego mózdzku i tych głupich pięciu zmy-

słów wobec jednej najdrobniejszej, choćby najblachszej manifestacyjki nagiej... tej... duszy.

Teraz Jacek Peupek jednak czytał:

„Rozmarzonej romantyczce z ulicy Brudnej! Nie jesteś pani romantyczką, ani przenigdy rozmarzoną. Wcielona uporczywość walczy u Niej z bezdennie słabą wolą. Brak jakiegokolwiek wrażliwości przy potwornie rozrośniętej neurastenji. Trywialność odruchów obok wstrętnej skrytości i obłudy. Staropanieńskie samolubstwo, dziwnie skojarzone z dziwactwami dziecka czy starca nad grobem. Trzeba się leczyć, gdyż inaczej grozi Pani szpital dla obłąkanych. Ani śladu uczuć macierzyńskich, coprawda wogóle żadnej uczuciowości. Próby odwrotnego pisma wskazują na popęd do kłamstwa, oszukiwania i zdradzania. O literach **d** i literach **p** wolę nie pisać, gdyż kryminalistyczne zakrętaszy charakteryzują typowe przekłete umiłowanie fortepianu.. bez dźbła talentu. Głos pani musi mieć skrzeczący, wobec tego zamiar pani zostania aktorką proszę zawiesić na kołku. Nadto w liście pani zanotowałem szesnaście błędów przeciw obowiązującej „nas wszystkich“ „ortografii“.

Sędziwej matronie: O kochana pani! grafologa nie łatwo wyprowadzić w pole. Już raczej trzeba było obrać pseudonim: Heroda Baby, a i tak byłbym poznał mężczy-

znę z koślawych literek i niegramatyczności zdań. Pedanterja i egoizm oto pierwsze cechy, następnie brutalność i zamięłowanie brudu, nieczystości, nieładu. Brak choćby jednego dodatniego rysu. Skąpstwo poznać już choćby z interpunkcji i braku kropek nad i. Obżarstwo znać w połykaniu całych zgłosek, tak, że już lektura pańskiego świstka jest uciążliwą. Zresztą charakter tuzinkowy, zdziwaczały wskutek długiego starokawalerstwa. Niezdolność do litości. Chybaś pan nigdy biednego nie obdarował? Zdolność do egzaltacji, o której pan wspominasz, tłumaczyć należy lekturą hołotnych romanseł, branych bez wyboru z powodu pańskiego intelektualnego analfabatyizmu. Nadto widzieć się dają typowe esy i floresy tak zwanych „bab sekutnic“, niepojęte wobec pańskiej męskiej płci.

...Jacek Peupek zimnym potem oblany kończył czytać. Widział już w połowie lektury, że wszystko między nimi skończone, tembardziej, że „między nimi nic nie było oprócz tylko westchnień kilku“ I wiedział że o pannę Melanję starał się równocześnie młody pan Cimirski, spadkobierca kamienicy, z której jutro właśnie miano jego i Stacha raz na zawsze troszeczkę wyrzucić na bruk.

Na progu drzwi stanęła pocziwa Kaśka „Karjatyda od wszystkiego“ imieniem Rozalja,

choć z różą miała znacznie mało wspólnego; już raczej z rzepą.

— Pani kazała powiedzieć, co pani ani panny niema w domu i nie będzie od dzisiaj już nigdy w żaden sposób.

— No to powiedzże paniom, żeby mnie... że... no! że to szkoda..., bo tego... wszystko urządzone już... wieszadło powiedz... garnitur do wódki... Zresztą... cholera... cista!

A Jacek Peupek machnął ręką z determinacją, chwycił za kapelusz i wybiegł. Olbrzymimi susami wskakiwał po zapadającej się klawiaturze schodów na czwarte piętro ich „wieżycy“. Już od progu oświadczał krótko i wężłowato — ale z dziką radością.

— Stachu! nie rozchodzimy się wcale...

— Owszem, owszem Jacku miły!

— I jutro siadam do pracy i rżnę powieść o polskich wolnomurarzach.

— Wolnomularzach Jacku drogi!

— U nas mówią „murarz“.

— To głupio mówią.

I tak gawędząc swobodnie przepędzili Stach z Jackiem resztę i wieczoru i wogóle ziemskiego żywota kpiąc z „biednego mózdzku ludzkiego“ a od czasu do czasu odslaniając jeno światu swoje nagie dusze w przepotężnych emanacjach „przepalanej“ twórczej woli. Nie opuścił Jacek Peupek swoich szachistów i nie zrzekł się tajemnego kunsztu grafologii, któ-

ra umiał odtąd wdzięcznie łączyć... z grafomanią.

Panna Melanja zaś szybko wyszła sobie mąż a spłodziwszy ze synem Jana z Oleju Cicimirskiego czworo dzieci, odtąd leczy je ze szkrofułów i ostrych stolca zaburzeń, niekiedy tylko wśród westchnień wspominająca sobie poematyczny epizod swego życia z nagłówkiem: Jacek Peupek grafo-logomonoman.

**JANA KANTEGO ŻELAZIKOWSKIEGO,
KANCYLISTY »SWIĘTY« W ŻYCIU
»DZIEŃ«**

(MONOLOG GALICYJSKO-LODOMERYJSKI)

Uczciwemu człowiekowi w tym przykładzie łączy się do oczu cisną na samo tylko owych chwil i momentów wspomnienie. Takie sprawy moje państwo raz się jeno przeżywa, boby nie wystarczyło; raz w żywocie każdy człowiek nawet mizerny ma. A potem już znowu jednakowo wciąż i to samo. Ale się ciągle o takim szczęściu śni nad ranem i w dzień się człowiek zamyśli i do trumny się z takim szczęściem wkładzie i umiera.

Hoj, hoj! Wiele latów mija jak to wszystko miało miejsce i znów wiele latów minie, nim się powtórzy i już nie za mnie, nie, bo skądżeby? Owe Najjaśniej Oświećsze Osoby po Bogu w narodzie pierwsze do takiej z przeproszeniem państwa bardzo śmierdzącej dziury zaglądnęły; atoli co innego w wielkich miastach Przemyślu, Tarnowie gdzie jest co widzieć i na co się popatrzeć.

Jeszcze wonczas Starostwo było na dawnem miejscu, na Ogrodowej, ksiądz dziekan Rondel żył sobie; cukierni nijakiej nie było, bo skądżeby? straż ogniowa świeżo się założyła i sztandar jej wyszyły panny Pindelskie, co to jedna za koncypistą tym

no jakże mu tam, no, tego. A druga Andzia umarła z wiecznej fluksyi. Aż tu jednego dnia stojemy sobie przed Sądem całkiem zwyczajnie omawiający rzeczy bieżące, szczególnie poronienie pani weterynarzowej, która sobie ze zbytków i oszalenia, ponieważ bardzo majątną wyszła za pana weterynarza Choca i sprawiła z miasta tak zwane bicykle i na takim aż do szóstego miesiąca krowy i psy przejeżdżała, dyabłu i aniołom jego duszę jenteligentną zaprzędając. Stoimy tedy i radzimy nad owem poronieniem: ja, pan zarządca więzień i majster szewski Ambroży, co to się obwiesił tamtego roku, (wkiedy mu się drugi raz para bliźniaków z żoną udała) i obradujemy, a tu nagle z sieni, pamiętam jak dziś, wychodzi pan substytut Schmockerle z panem adjuktem Ćwieczkiem. Pan Ćwieczek jak to on zawsze przechodząc, jak nie klapnie mnie po plecach jenteligentnie, jak nie wrzaśnie mi do ucha, tak, aż mi się, (że to rekonwalescentą byłem po zapaleniu śledziony), nieobrze zrobiło i tylko się o ścianę gmachu Sądowego oparł. A wtedy ochłonawszy popatrzyłem dokoła, nikogo już przy mojej osobie nie było, bo wszystko się rozbiegło z ogromnej radości, a tylko w uszach i w głowie huczało mi i jęczało wiadomością niepojętą: Najjaśniejszy Cesarz przyjedzie!

Najjaśniejszy Cesarz do twojego miasta Żelazikowski przyjedzie! Opamiętaj się człowieku póki czas, bo nadchodzi dzień on, w którym na żywe oczy oglądniesz owego Majestatu królewskiego, co wisi w Sali Rozpraw w złotej ramie i u pana prezydenta i na każdym guldenie i w każdym jest ferrowanym wyroku i ową Cislitawią i ową Lodomerją świętą panuje. I opamiętałem się jak na urzędnika manipulacyjnego godzi się i prędkim krokiem zaszedłem do rodziny, oznajmiając jej z daleka, że słowo ciałem się stało, a miłosierdziu boskiemu granic nie masz. Tylko niewiadomo jest jak tu wystąpić, czy jako figura i honorat, to jest prezes Bractwa Różańcowego i „Od nagłej i nieubłaganej śmierci, czy jako kancelista c. k. Sądu Powiatowego w Ciężkorypinie. Wszelakoż czasu było jeszcze wcale wiele na zapadnięcie uchwały obowiązującej a Ciężkorypin przygotowania czynił na najdostojniejsze przyjęcie. Najpierw, to jest najsamprzód załatano wielką dziurę w dachu Magistratury miejskiej, przez którą przeciekało w porę słotną aż do Sali obrad. Potem pomalowano dach kościelny na czerwono a na wieży wywieszono ogromną forągię z czarnego i złotego koloru, ale coby nie obrazić pana rejenta Dzikiewicza za to, iż tenże był w po-

wstaniu, a potem wiceburmistrzem więc i drugą forągiew z czerwonej i białej farby. Następnie wycięto młody laszek należący do gminy i drzewka powtykano w ziemię wzdłuż toru kolejowego, że już chyba i nie mogło być piękniej. A według rozporządzenia z wszelkich okien i wogólności otworów domów przy torze kolejowym pozostających, wywieszano na próbę dywany, kapy ze stółów i z łóżek, co piękniejsze poduszki. We wszystkich domach prano bieliznę, szorowano podłogi, zapuszczano posadzki, zakładano do lamp nowe knoty. A wieczorami szły ogromne śpiewy od dzieci, co na dziedzińcu normalnej szkoły ćwiczyły się w Hymnie Cesarskim pod prezydencją pana organisty i egzaminowanej akuszerki pani Sliwowej, która podobno niegdyś sobie taką była teatralną chorzystką i za śpiewanie brała wielką pensyą, a tylko z powodu garła swego wzięła się do rękodziela akuszerstwa w Ciężkorypinach. Najwięcej atoli parady i urzędowej pieczołowitości poświęciły złączone władze miejskie Pieronowi kolejowemu, jako świętemu miejscu, uświęconemu pobytem Światowego Majestatu na czas dziesięciu minut i pięćdziesięciu sekund zatrzymania się dostojnego pociągu.

Prędko kończyły się przygotowania paradne i zwolna nadchodził dzień upragnio-

ny. Nigdy jak miasto miastem nie oglądało tyle forągwi i tyle świerczków i dywanów. Najstarsi ludzie nie pamiętają takich bram tryumfalnych, jakie pan rewizor Pęczkowski pobudował z żołnierzami i panem Piernikarskim, jako znającym się na tych rzeczach jako i na ogniach sztucznych i teatrach amatorskich i wogóle; tembardziej na napisach z czerwonej i zielonej bibuły: Boże wspieraj“ i drugich: Boże ochroń i trzecich: Vivat et crescat! i czwartych: Viribus unitis I piątych: „Tu felix Austria nube“, co jednak wszystko ustawicznie psuło się uszkodzone od zbereżnych chłopaków miejskich, rzucających na okół kamieniami i zdzierających po niewidności bibułowe wstęgi, a ogromnie podnieconych zuchwalstwem z powodu uroczystej powagi godnej starszemu wiekowi i świadomości wysokości odpowiedzialności przed Najwyższymi Gośćmi.

Przedostatniego dnia, kiedy już wszystkie parady były gotowe i deszcz cokolwiek zlał wszystko rzęsiście, przez całą noc padający, wydał Magistrat i rada gminna na nadzwyczajnem posiedzeniu uchwałę, mocą której wywieziono na czas Święta Wielkiego starą Kitzlerfreundową i jej pięć dziewcząt na pobliski miastu folwark Piździechówkę, ukryty w brzozowym lasku. Zwłaszcza, że dziewczyny wygrażały, że wszystkie wcisną

się na pieron uświęcony i całą noc gardząc gośćmi i wstrzymując się od wszelkiej obowiązującej je pracy wzięły ogromny bukiet, z róż polnych, tymianku i macierzanki, który jedna z nich jako najpiękniejsza imieniem i nazwiskiem Weisse Salcia upierała się wręczyć Cesarskiemu Majestatowi w asystencji innych. Uchwała ta wszystkich władz Ciężkorypińskich jednogłośnie powzięta spotkała się z niesłychanym uporem dziewcząt, chcących także zamanifestować swe uczucia wiernopoddkańcze i całkowitą ufność dla obecnego miłościwie panującego rządu. I trzeba było interwencji całej kompanii policyjnej, całej straży ogniowej i pomocy woźnych sądowych, aby wyrrywające się, szlochające i włosy sobie z głów wyrrywające dziewczęta wsadzić na ogromny wóz rzeźalni miejskiej i odstawić do folwarku. Czego z wielką odpowiedzialnością, i chlubą podjęli się dwaj synowie pana starosty: Artur i Jerzy, czuwając też całą noc poprzedzającą wielki dzień przy zbuntowanych osobach, wykluczonych z natury rzeczy od prawa hołdownictwa i prezentacji się.

A tu noc szła. A po nocy miał iść dzień! Mało spaliśmy w mieście, bo już obawa zaspania była wielka i nawet spóźnienia się. A że dostoyny pociąg miał w Ciężkorypinie stanąć o godzinie ósmej, więc

wedle przykazania pana starosty wszystkie władze i cechy, jakoteż szkoły i dostojęstwa i bractwa i banderja z dwudziestu krakusów i kahał kościelny i cała kapituła żydowska miały punkt godzina szósta uszykowane wszystkie stać na dworcu i czekać w milczeniu i spokoju tego, co się stanie.

I ja nie spałem. Chciałbym był widzieć takiego, co wonczas spał, czy to zwykły kancelista, czy choćby emerytowany radca skarbowy pan Szelmiński, lub sam starosta.

Uradziliśmy wspólnie ze starą, co ja nie będę się prezentował między kancelistami onymi i manipułą, a osobno, z „Bractwem Różańcowem“ i „Bractwem nagłej i niespodziewanej śmierci“ jako naczelnik i posiadający frakowate ubranie po ś. p. pierwszym mężu starej, który, bywszy długo kelnerem, umarł z przejedzenia się zepsutą baraniną z kapustą. Toteż stara wyprała mi na glanc piękną różową koszulę w popielate muszki nakrapianą, a ja uzyskawszy pozwolenie pana starosty bez względu, żem w wojsku feldfebla niegdyś się dosłużył, stałem się na uświęconym pieronie z depucją bractw obu. I wyznaczone miałem miejsce między weteranami z pod Sadowy a szkołą normalną, głównie dla zasługi uratowania niegdyś z wody żony jednego pułkownika, tonącej bez ratunku, za co me-

dal zasługi dostawszy, przypięty miałem na fraku obok innego orderu, który stara gdzieś za pięć centów od żyda tanio kupiła, myśląca, że to złoto. Co się przy tej sposobności przydało.

Jasny dzień pogodny zaświtał na niebie, kiedy drogą do pieronu najwyższego szły tłumy ludzi i jechały powozy i straż ognio-wa z trzema beczkami i muzyka żydowska i włościanie wymyć i szmalcem bardzo wypomadowani. Scisk koło pieronu dostojnego czynił się coraz większy, zwłaszcza, że zuchwałe żydostwo wyległo całe. To na widok żadną miarą nie mogło być dopuszczonem, wskutek honorowej straży obywatelskiej pod przewodnictwem rzeźnika pana Zefirka, który wspaniale się prezentował jako wzrostu i siły byczej człowiek i też we fraku, żółtych spodniach, przepasany przez ramię wielką czarno-białą wstęgą. O szóstej rano obywatelstwo było już zebrane i czekało. Że jednak z powodu wyciągnięcia nieużywanych z różnych dziesiątków lat fraków, i innych mundurów smród od naftaliny, oraz ziół różnych i w ogólności bu-twiejącego płótna dawał się czuć nieznosny, przeto jeden z prewizorów aptecznych po rozpałał wszędzie małe trociczki i zioła wschodnie, aby niemiły zapach nie dawał się odczuwać nadjeżdżającemu Majestatowi.

Wkrótce też miły kościelny dym rozszedł się dokoła. Koło godziny siódmej nadjechał i pan starosta z żoną i jej przyjacielem z roków dziecinnych rotmistrzem od ułanów i dokonał przeglądu całego zebrania, zadowolony z dzielnej podstawy zgromadzonych, a tylko pana przewizora bardzo ostro skrzyczał za trociczki i zioła, które tak wiele znowu spaliło się, że aż wielkie dość mgły i obłoki pachnące unosiły się wśród zebranych i nad dachem Dostojnego Pieronu. Ponieważ już tylko pół godziny dzieliło od Pociągu Najwyższego a sygnały już szły, że wyszedł ze stacji Brzuchowice Małe i żona pana zawiadowcy stacji ze strachu na nic zemdlą, więc pan starosta, mocno zirytowany, kazał otworzyć wszystkie wszędzie drzwi budynku stacji, coby wywiało przeciągiem te trociczki. Panu rewizorowi zaś wobec kilku radców Sądu i burmistrza i ciała nauczycielskiego nawymyślał od warjatów i głupców. Aż tenże obrażony i zły aż do wściekłości uklonił się i prędko uciekł, a nikt nie wiedział, bo i nie mógł wiedzieć jaką zemstę podłą w sercu sobie ukuwał. A tu już pociąg za kwadranc miał nadchodzić, a wszystkie dzwony u Fary i u Ojców Jezuitów były na potęgę, aż się pot nam zebrany w paradzie lał z twarzy i z szyi i nic nie było widać tylko białe, czer-

wone i niebieskie chusteczki do nosa, którymi wszyscy ocierali głowy i łysiny, sapiąc z unużenia z gołą głową i w słońcu. Wreszcie i małe dzwoneczki stacyjne zaczęły dygotać, a daleko od strony toru i mostu na Smierdziączce słyszeć było krzykliwy szmer niezliczonego tłumu rodaków: Kimmt schon, kimmt schon, kimmt!

I wtedy zaczęły nam tak serca bić wszystkim i taki strach okropny przeszedł w nas, że wielu chciało uciekać z Pieronu i to zwykle bardzo śmiałych np. pan egzekutor Pyc-ka. A już niektórzy to dygotali w kolanach jak pan kontroler pocztowy lub inspektor podatkowy Schraube, który tylko dzwonił zębami śmiertelnie pobladłszy i mruczał do siebie: Serce Jezusa bądź moją miłością! Serce Jezusa bądź... i tak w kółko, ponieważ należał do Towarzystwa Jezusowego, a jednak był to ogromny pies dla biednych ludzi i bezpardonowa świńska dusza, którego wszyscy nienawidzili. A to że już dym z Dostojnej Lokomotywy szedł przed łaskiem, więc okropne wzburzenie ogarnęło wszystkich i nikt ani to spostrzegł, jako mstliwy pan prowizor z apteki, (który pono teraz gdzieś w gazety pisuje) chyłkiem wrócił znów z apteki z torbeczką jakichś zapachów nowych, przeciskał się między największe urzędniki miasta i okolicznych dziedziców i du-

że coś nowego rozsypywał po ziemi. A tu już dudniało po żelaznym moście na Smierdzączce, a pan starosta jeszcze raz donośnym głosem przykazywał, że na wszelkie pytania odpowiadać należy się habacht stanawszy: Jawohl Majestät. A ktoby więcej powiedział, może rangę stracić, a z pośledniejszych ludzi to i po pysku dostanie, ino Dostojny Pociąg odjedzie. Już się i zamęt wielki robił, bo Straż honorowa rzeźnicka, że to i napić sobie lubią bez radna ręce opuściła i wraz mrowie żydowskiego ludu i hołoty polskiej pchać się zaczęło. Czternaście zaś dziewcząt nietykanych, jeszcze w bieli które miały podać ogromny bukiet z bzu i jaśminu Najwyższej Osobie, nagle w płacz buchnęło, głównie zarażone od płaczu panny naczelnikówny Oldzi, która miała oddeklować Dostojnemu Majestatowi całą balladynę: Graf von Habsburg, wiersz po niemiecku przez swojego nauczyciela napisany, ale z przeraźliwego strachu wszystko zapomniała od początku. A tu mimo owego przewietrzania Starostowego dymy od spalonych kadzideł jakoś nie ustępowały, ale do tego dołączył się inny jakiś zapach, okrutnie wnetrźliwy i śmierdzący niemile, aż się zaczęło mdło ludziom robić, a panie radcowe i inne damy i matrony zaczęły już słaniać się ku ziemi i pojękiwać. A pani starościna,

rozpychając wszystkich swym przyjacielem rotmistrzem, prędko już z Najwyższego Pieronu wyszła i oboje z rotmistrzem owym w galopie odjechali do najbliższego lasku. A tu Najwyższy Pociąg zwolna bardzo powolutku wjeżdżał na szczęśliwe tory żelazne. Stałem bardzo blisko księdza proboszcza. pamiętam jakby dziś, że to bladł, to czerwieniał i krew go zalewała aż po komeżkę, chustkę trzymał przy nosie, a już wkiedy uwidział nadjeżdżające Wysokie Wagony, odjął chustkę od nosa, głęboko wciągnął powietrze, zachłysnął się niem i jak długi omdlał na ręce organisty z głośnym krzykiem: Oremus! Assa foetida! Assa foetida.

A co się potem już działo w Onym Świętym dniu to i dobrze nie pamiętam. Huk moździerzy i walenie dzwonów wszelakich zagłuszające; grany przez Harmonię Ciężkorypińską Hymn Cesarski i piszczały płaczące dziewczątka w bieli a wszystko pchało się naprzód do wagonów, które cicho stanęły całe złote i z lustrami a w jednym wagonie w otwartych drzwiach stanął jakiś Najwyższy Minister i zeszedł. Potem jakiś cały czerwono-złoty Najjaśniejszy Adjutant. Poczem coś mówili do siebie, znów stanęli na schodach a wśród hałasu niewiadomem było co się stanie. A że ja śmiało się wypchałem tuż przed pana Starostę jako or-

derowy, więc danem mi było słyszeć kilka słów rozmowy. Starosta coś powiedział, blady jak trup do pierwszego z najwyższych Namiestników, ten zaś odwrócony skrzywił nosem mruczając: Unmöglich! Stinkt grässlich! Drugi Generał-Namiestnik czy Wielki Adjutant w wielkich złotych okularach dodał: Furchtbar! Naftaline und Assafoetide und Armeleutegeruch. Zu komisch! Potem jeden i drugi weszli po stopniach napowrót, zatrzasnęli drzwiczki, znów stanęli w okienkach, salutując blademu jak śmierć panu Staroście i Najdostojniejszy pociąg zaraz ruszył wśród huku moździerzy, hymnu Cesarzskiego, bicia dzwonów i okropnego krzyku żydów i biedniejszej ludności Ciężkorypina. Vivajt! Vivajtt!

Z ostatnich wagonów jeszcze któryś z kucharzów Najwyższych w białych mundurach pokazał nam język, a drugi przez otwarte okno wylewał na uroczysty Pieron Dostojne Pomyje, oblewając nimi niebacznie deputację okolicznych dziedziców i rodzinę samego pana burmistrza.

Święty to był dzień moi państwo dla Ciężkorypina... Święty, choć się ta i co nieco po prawdzie nie zupełnie we wszystkim udało...

CZERWONY KARNAWAŁ

Przebijając lewą rączką w bombonierce od Wedla, w prawej dusząc chusteczkę, zroszoną „*Delices'ami*“ Houbigana, zawodzi a pani Lala żalosne na dzisiejszą epokę skargi.

...Co za czasy panie kochany!.. co za niemożliwie antypatyczne czasy!.. Do czego to dojdzie, jak tak dalej pójdzie! Nuda, neurastenia i rewolucya, autonomia, hypochondrya i chuligania, czarne sotnie, czerwone sotnie, tysiące bankructw, potrójne ochrony, dynamity i bombastycyzm! Kiedy się to skończy proszę pana?

...Nie śmiem wiedzieć — jak mówi znany dyplomata Archisamowarnikow... ale zdaje mi się, że nie przed końcem tego...

...Roku... 1906?

...Nie pani, tego wieku, koło 1999... Rosya, że tak powiem gra jedynie bardzo interesującą uwerturę, choć nieco kiepsko zinstrumentowaną i nieco przygłuszoną kartoczownicami. Więcej jednak spodziewam się od pierwszego aktu, który odegrają instrumenty niemieckie pod batutą kapelmistrza Berlina.

— Więc pan twierdzi, że chuliganie.. czy też że mandaryni.... czy też stan wojenny,

bo doprawdy nie pojmuję, co pan wróży?

— Nic nie wróżę ponadto, co wywróżyła niedawno madame de Thèbes jednemu z wielkich uczonych paryzkich: ani wędrówki narodów, ani hordy Dżingishana, ani trzydziestoletnia wojna, ani wszystkie dotychczasowe rewolucye nie zniszczą i nie spustoszą tak Europy, jak pierwsze ćwierćwiecze XX wieku!..

— Ależ panie! Co za horoskopy! Jak pan możesz powtarzać coś tak okropnego. Pan jesteś potwornym pessimistą! Jak można cytować tak zdyskredytowaną wróżkę jak madame de Thèbes, która trzem po kolei panującym ośmieliła się wróżyć los Burbonów, za co nawet dostaje od nich stałą pensję?..

— A widzi pani. Ale pensję dostaje. Każdy kto dziś wróży najgorsze rzeczy, dostaje za to pensję. W ten sposób, interesowanym zdaje się, że przekupują i przepłacają złą i rozsierdzoną Anankę.

— Żarty na bok. Więc pan sądzi, że o karnawale ani myśleć, o balach ani marzyć, o flircikach ani śnić?

— Prawdopodobnie wobec smętnego administracyjnych karnawału trudno, aby kto miał monetę lub ochotę na karnawalskie zabawy. Każdy kontent, że żyje nieprzestrzelony na wylot, że obie nogi mu funkcyo-

nują, że głowę ma na kołnierzyku, nos nie spłaszczony, oczy nie wyłupione. Dziś tańczyć można chyba walc św. Wita, przy dźwiękach starej skrzypiącej Wielkiej Kataryny...

— To straszne! Bo wyobraź pan sobie, ja byłam tak pewną, że mój małżonek będzie posłem, skoro jest adwokatem i zna się ze wszystkimi dziennikarzami i tak pewną, że Duma będzie zaaranżowaną już w grudniu i że ten karnawał spędzimy w Petersburgu w kołach dyplomatycznych, że nawet zaryzykowałam wielkie koszty, byle tylko mężowi pomagać w polityce. Oprócz dwóch warszawskich tualet od Thonnesowej i Kwiatkowskiej, obstałowałam sobie trzy prawdziwe arcydzieła w Paryżu... nawet jedną przyznam się panu na wszelki przypadek... a może?... więc jedną dworską *en valenciennes*, przybieraną z przodu szeroką koronką irlandzką w formie *tablier* ach prześliczną! wprost precudowną, oczywiście z rękawkami krótkimi, bo któżby teraz nosił długie!... chyba te radykałki... Chociaż i ja jestem właściwie radykalną, bo mój mąż jest do pewnego stopnia nawet bardzo... bo któż teraz nie jest? nie prawda? ale cóż to ma do rękawów? ... Oprócz tej dworskiej, mam jeszcze dwie kreacje od boskiego Douceta!... I to wszystko na nic.

stracone pieniądze, zmarnowany trud, bo o wyjeździe naszym do Petersburga ani marzyć. A Warszawa!... ach ta stała się wprost niemożliwą! potworną! obrzydliwą!..

...No no!... dlaczegoż tak bezlitośnie, pani Lalo?

...Och jakże może być inaczej, panie kochany! Ja tej mojej Warszaweczki formalnie poznać nie mogę! Taka była do przedwczoraj rokokowa i gracieuzna, taka szykowna i rozflirtowana! A teraz?...

A teraz któż weźmie na siebie obowiązek i będzie miał tupet wyperswadowania i przekonania publiczności i prasy, że karnawał coute que coute być powinien, że tego domaga się ten... no ten... przemysł krajowy, czy narodowy... że z tego płyną dochody dla kwiaciarzy, właścicieli remiz, cukierników, hotelarzy?.. Któż wzruszająco a bez przesady opíše niedolę biednej pracownicy igły, która traci wszelkie zarobki wobec tego brutalnego faktu, że nawet karnawału nie będzie, tak jakby bal lub raut cośkolwiek przeszkadzał tej całej rewolucyi lub konstytua.,. no jakże... konstytuancie... Och ciężkie czasy idą na nas. panie kochany!.. jak ciężkie!.. W naszym kółku wszystkie żury skasowane, panowie rozpolitykowani po same uszy, a co było chłopczków bardziej interesujących, kochliw-

szych, szykowniejszych to wszystko pouciekało do Berlina i tam aż strach pomyśleć tracą pieniądze, siły i zdrowie na to... no... na szansonistki!... Straszny ten czerwony karnawał....

Ech... wie pan.... możeby tą rewolucję jeszcze odłożyli....

....Odłożą.. odłożą pani Lalo!....

MR. STRIKEMAKER

W bogatym i lekkomyślnym mieście Bristolu, w którym roduznkarze mają swój własny „Indiana Club“, a mydlarze własny tor wyścigowy dla dwulatek, istnieje na rogu Gummi-Street, a Waterproof-avenue duża jasna kawiarnia mr. Stanleya Coopera.

W kawiarni tej od jedenastej rano do jedynastej wieczorem przesiaduje obywatel, mr. Strikemaker, osobistość sucha, żółta, intrygująca jako fenomenidło społeczne dzisiejszych czasów.

Mr. Strikemaker jest z zawodu próżniakiem, czyli jak Bristolczycy mówią: nygusem. Zawód jego zabiera mu dwanaście godzin pracy żmudnej i mozolnej dziennie; resztę doby poświęca mr. Strikemaker spaniu i czytaniu powieści Dumasa ojca. Pracuje stale w kawiarni mr. Stanleya Coopera: chodzi od stolika do stolika, czyta „Arizona-Kiker“, „Revolver-Newspaper“, „The Camelot“, „Pick-Pocket-Press“ i inne pisma, wypala trzydzieści cygar, siedm fajeczek, wypija jedenaście czarnych kaw, pięć dog-whisky, sześć marine-coktails, zjada dużo ciastek, parówek, cakes i t. p. i... urąga burżuazji bristolskiej.

W kawiarni mr. Stanleya Coopera jest tej burżuazyi zawsze pełno i wszyscy wprost przepadają za tem, by mr. Strikemaker mawiał im impertynencye, złośliwości i streszczał w krótkich zdaniach to wszystko, co wyczytał w żółtej, czerwonej i jingoskiej prasie. W ten sposób mr. Strikemaker stał się ulubioną figurą Bristolu, należącą już prawie do inwentarza kawiarni mr. Stanleya Coopera, a równocześnie pupilem burżuazyi, na którą, gryząc cygaro w trzech pozostałych czarnych zębach, wymyśla bez miary, bez przerwy, bez wytchnienia, jak automat.

Ale przyszły na bogate a lekkomyślne miasto Bristol czasy, o których powiedziano: „nie laurowo w nich, a durnowo i ciemno“, czasy, w których połowa ludności zażądała zmiany burmistrza, szeryfów i aldermanów. Ponieważ magistrat i rada bristolska nie chciały natychmiast ustąpić, przeto zaczęły się strajki.

Mr. Strikemaker zaczął się zaniedbywać w pracy kawiarnianej. Tylko w południe wpadał na chwilę do lokalu mr. Stanleya Coopera na trzy kawy i grog i znów z bardzo tajemniczami minami wybiegał w miasto, w którem na czas jakiś objął, jak się wyrażał, „ster spraw politycznych w swoje ręce“. Osobiście nie należał on do żadnej

partyi, ale zasadniczo sprzyjał tej, która „ze stanu biernego przechodzi w stan aktywny, na ulicę“ i „przerzywa monotonię naszej bristolskiej nudy“.

Skorzystał sobie więc mr. Strikemaker z politycznych okazji i coprawda samowładczo, ale z tem silniejszą energią wziął na siebie obowiązek zamykania sklepów i grajzlarni na bocznych ulicach i przecznicach, gdzie mało grasuje policmenów, a spokój i ciszę przerywa tylko ziewanie starych psów. W potwornie wielkiem, starem, wypełzłem futrze, otulającym 45 kilo jego ziemskiej wartości, łąził mr. Strikemaker od sklepiku do sklepiku, i wyciągając z ust na moment zgryzione, splute cygaro, wygłaszał sakrementalne: W imieniu bristolskiej partii alfa beta gama, handlowi kładzie się tama, proszę natychmiast zamykać budę!

I zestrachani, skatowani, zneurastenizowani sklepikowi proletaryusze zamykali posłusznie jak jagnięta.

Na głównych ulicach Bristolu wielkie magazyny, bogate sklepy i manufaktury, bezpieczne pod okiem maszerujących tam i z powrotem policmeńskich oddziałów, drwiły sobie z politycznego programu mr. Strike-makera. To też dzielny działacz z kawiarni mr. Stanleya Coopera nie narażał swego autorytetu rewolucyjnego puszczaniem się

na wielkie arterye, ale z tem większą konsekwencyą rozwijał swą energię po zaułkach i przeczniczkach. „Dziennie zamykam 670 sklepów, dwadzieścia składów węglowych i do dziesięciu garkuchni i restauracyjek“ chwalił się przed kupcami perwszej gildyi i fabrykantami milionowymi. „Nie wiem i nie obchodzi mnie, co tam sobie robią socyałści i czy im to zamykanie grajzlerni przypada do smaku, ale to wiem, że ja się bawię pysznie...“ dowcipkował do właściciela kawiarni mr. Strikemaker.

I bawił się istotnie dzielny człowiek z inwentarza kawiarni Cooperoskiej przez dni kilka czy nawet kilkanaście, zrobiwszy sobie istotny świetny sport z zamykania sklepów. W kawiarni mr. Stanleya Coopera nazwano go nawet championem od zagważdżania małego handlu i w nocy, koło jedy-nastej, kiedy wracał zawsze ze swoich sport-smeńskich wycieczek, by się posilić obficie i zakupić zapas cygar na noc, przy niektórych stolikach witano go wprost owacyjnie.

Ale nadszedł dzień pewien posępniejszy, niż inne. Krociowe miasto wstało rano złe i ponure. Całe mieszczaństwo wielkie i małe, bogate i ubogie postanowiło absolutnie domagać się ustąpienia natychmiastowego rady miejskiej ekonomatu i magistratu. Mr. Strikemaker, obudziwszy się rano, jak zwykle

po jedynastej, prędko umył koniec nosa i prawą ręką, którą się witał z gentlemanami w kawiarni bristolskiej, i wdziawszy futro i zapaliwszy pierwsze cygaro, szybkim krokiem wylazł na ulicę. Już jednak na rogu ulicy Jonathan-Square zaczepiło go grono proletaryuszów słowami wcale brutalnymi: „Mr. Strikemaker, oddaj nam swoje kiepskie futro i swoje dobre cygara jeżeli zaliczasz się do naszych!”

— Nie obywatela! Futra i cygar wam nie oddam, gdyż jestem wyznawcą zasad republikasńko-federalistycznych i do komunizmu nie czuję żadnej inklinacji...

...Tedy mr. Strikemaker jesteś bałwanem... odrzekli, zdzierając zeń szybko podłę, wygryzione, wypełzłe futro... I wzięwsze też wszystkie cygara pomaszerowali dalej.

Ulicami płynęły fale ludu ze sztandarami: precz z szeryfami!

Mr. Strikemaker, mocno niespokojny i już nieco zniechęcony do przesadnego manifestowania po ulicach, psucia elektrycznych przewodników tramwajowych, tamowania ruchu na trotuarach i t. p. biegł szybko do swej kawiarni, roztrącając obywateli z mocno zrewoltowanymi wyrazami twarzy.

Wreszcie dobiegł do rogu Gummi-Street i jak słynna bomba bristolska, wpadł do ukochanej kawiarni. Było pełno. Wszyscy

zdenerwowani, bladzi, rozgadani, wymachujący rękami, nogami, wydzierający sobie piśma poranne.

— Co słyszeć, mr. Strikemaker?

— Co ma być słyszeć? Głupio słyszeć. Z czego ja sobie zrobiłem sport, to inni widzieć biorą na seryo.

— Pójdiesz dziś master na swoje uliczki i zaułki?

— Albom ja zwaryował mr. Kinemato-graph, żeby iść w taki dzień? Dziś sobie po staremu przesiedzę dzień cały u Stanleya Coopera, zagram w domino, w szachy, przeczytam od deski do deski „Arizona Kiker“, „Revolver-Newspaper“...

— Mr. Jonathan! proszę dla mnie a knie-bejn, ...dwie pary parówek liwerpool-skich, jeden philisterwhisky i dziesięć cygar po 30 szylingów sztuka!

I jeszcze nie domówił tych słów wygodnie siadając sobie na burżuazyjnej czerwonej kanapie pod kapitalistycznym w grubych złożonych ramach lustrem... kiedy u wielkich drzwi wchodowych wszczął się kolosalny gwar i hałas. Czternastu gentlemanów w czerwonych koszulach, w kapeluszach a la Garibaldi, wbiegło z wyciągniętymi w górę sympatycznymi wyrobami mr. Browninga do pierwszej sali, celując lufami

wyrobów wprost w przerażone blade twarze gości mr. Coopera.

Jeden z czerwonokoszulich wskoczył na stół. Gniotąc nogami cztery czarne kawy i kapelusz mr. Strikemakera wygłaszał krótko a radical speech.

— Obywatele! zjedliście wiele, wiele wypili, gdy my biedni z głodu wyli. Teraz odchylamy przyłbicę! Zamykać budy! Marsz na ulicę!

I zeskoczył. A wszystko, co żyło w kawiarni, szybko wstało ubierając się kurczowo. I wnet tłum bogatych bristolczyków jął wysypywać się na ulicę.

— No, a co pan na to mr. Strikemaker? pytał znany złośliwiec mr. Berlinerblatt bladego z gniewu i dygocącego ze strachu dzielnego działacza... Wypędzają nas, a pańska protekcyja nic nie pomaga... hę?... ..

Mr. Strikemaker nic nie odpowiadał, tylko szybko chował ocalałe cygara ciężko wzdychając. Dopiero gdy wychodzili, rzekł przechodząc mimo, do przyjaciela swego mr Stanleya Coopera.

— Uważasz mr. Cooper!... To muszą być prawdziwi socjaliści, skoro odważają się zamykać pierwszorzędne magazyny i lokale na pryncypalnych streetach i placach, wobec tylu oddziałów pieszych i konnych

policyantów !... My!.... sportsmeni rewolucyi!
działamy tylko na bocznych uliczkach. Miej
mnie za wytłumaczonego. Good by mr.
Stanley!

— Good by mr. Strikemaker.

MIŁY TADZIO I LUBY FRANIO

W pewnem mieście, u pewnych państwa dwóch jest w czas rewolucyi pewnych chłopczyków: Tadzio i Franio. Pierwszy ananas ma lat siedem, druga pociecha lat osiem i kilka miesięcy. Mama i tato przeznaczyli dla nich duży, widny pokój o mocnych sosnowych drzwiach, kilka mebli gwarantowanej, nieprzemóżonej trwałości, Fraülein Trude, osobistość o wyglądzie androgynicznym i strzyżonem krótko uwłosieniu, dalej starego psa rasy bernardyńskiej z wypełzłą i wygryzioną sierścią, czerwone mi kaprawemi ślepiami i wybitą dolną szczęką. Pies nazywa się Neron, choć właściwie powinien nazywać się Hiobem, gdyż w tył ciągniony za ogoń przez obu chłopczyków, Tadzia i Frania, nie protestuje przeciw temu nawet warknięciem.

Otóż mama i tato Tadzia i Frania twierdzą z głębokiem przeświadczeniem, że mało jest dzieci „tak dojrzałych i rozwiniętych umysłowo“, „tak wiele obiecujących“, „takie rokujących nadzieje dla przyszłości naszej skołatanej ojczyzny“ jak Tadzio i Franio.

I rzeczywiście; przy bliższem poznaniu dochodzi się do przekonania, że mało jest mi-

lusińskich w pewnem mieście tak odpowiadających duchowi czasów, tak dojrzałych do sytuacji dziejowej i tak sympatyczne nadzieje rokujących, jak braterska parka miłego Tadzia i lubego Frania.

Chłopczyki np. uczą się elementarnego kunsztu czytania i pisania, ale nie poświęcają temu czasu zbyt wiele, gdyż twierdzą, że umiejętność czytania i pisania „wcale nie uchyla jeszcze kwestyi socyalnej“, a powtóre, że „dopóki w kraju jest tak olbrzymi procent dorosłych analfabetów, im niedorostym, wprost nie wypada śpieszyć się z tem studyum“. Natomiast z szczerem zapalem oddają się chłopczęta życiu polityczno-partyjnemu, stanawszy co prawda w swych zasadach na dwóch przeciwnych biegunach. Tadzio starszy jest endeczkim ognistym i czupurnym, młodszy Franio esdeczywą zagorzałą i nieubłaganą. Fräulein Trude staje zwykle po stronie programów Tadziovych, Hiob psisko przezwane, dla ironii Neronem po stronie esdeckiej; kucharka, stara Marcelowa reprezentuje skrajny konserwatyzm z odcieniem ultraklerykalnym; młodsza pokojówka Florka jest demokratką, sympatyzującą atoli z natychmiastowem zwołaniem ogólnej prostytutki. Sami państwo, mama i tata, wyznają zasady bezwzględnego konsekwentnego snobizmu.

Gdy się w salonie rodziców Tadzia i Franisia siądzie w oczekiwaniu np. mamy, słyszeć się daje zwykle z prawej strony silne kopania w drzwi, po czemrzucania w nie twarde przedmiotów, łoskot i trzask. Oto milusie chłopczyki domagają się wpuszczenia do salonu. Kiedy tedy Fräulein Trude wbrew bardzo surowym „postanowieniem obowiązującym“, drzwi sosnowe „odrygluje“, wpadają w salon równocześnie obie latorośle. Tadzio mana głowie olbrzymie papierowe czako generalskie, jest uzbrojony od stóp do głów i wjeżdża dziarsko na grubym kij z końskim łebkiem, krzycząc już od drzwi: Cy pan jest narodowiec, cy esdek, bo jak tak, to prec za drzwi, fora ze dworu, marsz!

Poczem wchodzi Franio z czerwoną chorągwią, wyciętą ze starego wyprawowego peniuaru mamusi i śpiewając, że ten „sztandar płynie ponad trony“, obchodzi cały salon, nakazując gościowi natychmiast wstać, i stojąc z uszanowaniem czekać aż pochód przejdzie...

Oczywiście gość mamin i tatów w tych warunkach jest postawiony w pewnej kolizyi, gdyż czyniąc zadość małemu Franiowi i wstając posłusznie, naraża się na szereg niewybrednych inwektyw i obelg ze strony Tadzia; siedząc zaś przekornie podczas manifestacyi Franiowej może ober-

wać szczotką od zamykania w plecy również przy akompaniamencie niemiłych wyzwisk i metafor.

Chłopczyki trzy razy dziennie popadają w trakcie rzeczowych dyskusyj w stan jakby bojowego podniecenia. Dla utwierdzenia się w swych zasadach i programach socjalnych i dla dosadnego przekonania przeciwnika rzucają się na siebie jak tygrysięta, i, tarzając się po podłodze, wyrывая pęczuszki włosów, silnie tłukąc się po ząbkach, kopiąc a wierzgając nogami z zaciśniętych gardziołek wykrzykują podniecające hasła partyjne jak: prec z białym orłem! prec z międzynarodówką! prec z kapitalistami! prec z anarchią itp. Omal, że nie precz z preczem! Wieczorami, gdy taś czytą na głos kuryerki dla mamy, dla babci, bardzo już krótkowzrocznej, między obiecującymi chłopczynami następuje rozejm i krótkotrwała ugoda. Nie mając czasu niepotrzebnie zaprzątniętego szablonowymi lekcjami, chłopczyki siadają sobie na niskich stołeczkach i żarliwie, nie tracąc ni słowa, słuchają długiej codziennej litanii interesujących napadów, koniecznych mordów, masowych aresztowań, pękających bomb, konfiskowanych pudów pyroksyliny, dynamitów itp. proszków. Od czasu do czasu, taś z przedziwnym humorem odczytuje

polemiki lokalne, w których stronnictwo Tadziove celuje dynamiką i logiką i elegancją. Czasem mama, luzując zmęczonego tatę, odczytuje „wdzięczne pokłosie“ wypadków w centralnych guberniach Cesarstwa, a czasem stryjcio opowiada kawały, posłyszane w ciągu dnia w siedmiu kawiarniach, których jest bywalcem.

Poczem chłopczyki z głowami pełnemi wrażeń i pouczających świadomości, idą spać.

Na drugi dzień od rana już odbywa się inscenizowanie i urzeczywistnianie posłyszanych wieczorami nowości.

Więc miły Tadzio, ubrawszy się w ornaty z obrusów i kap i włożywszy na głowę wazon porcelanowy, odbywa wizytację biskupią gubernii spiżarnianej i tam na uroczystej uczcie wyjada ze słoika dwa funty ananasu, wnosząc wiśniowym sokiem zdrowie „obywateli ziemian i zacnych kmiotków“.

Więc Franio luby ogłasza strajk generalny i zamykanie wszelkich szaf, komód, kredensów, biurek, a kluczyki dzielny działacz na mocy uchwały centralnego komitetu chowa w popielnik od pieca, co wywołuje zatabowanie całego ruchu gospodarczego, głód w rodzinie i emigrację żywiołów męskich „pod Bachusa“.

Więc narodowiec Tadzio urządza drugą „Obronę Częstochowy“ i zbudowawszy zamek z łóżka i dwóch szaf, grzmoci z niego poduszkami w Fraulein Trede reprezentującą germańsko-hakatystyczną potęgę.

Poczem Franio decyduje się wreszcie ogłosić zbrojne powstanie i wojnę wszystkich przeciw wszystkim. W myśl tej decyzji przewraca wszystkie stołki w jadalni, lampę wiszącą wprowadza w wahadłowy ruch i tłucze na szczątki. Poczem skorzystawszy ze snu poobiedniego konserwatywno-klerykalnej kucharki i z flirtu pokojowej z „uświadomionym na schodach“ stójkowym ustawia w salonie ogromną barykadę z mebli luksusowych, w łazience zaś wypuszcza wodę ze wszystkich kranów i zalewa łazienkę, przedpokój i gabinet papy

Tak to spędzają czas miły Franio i luby Tadzio, chłopaczki rokujące wielkie nadzieje, którym może i pewne zaciętrzewienie partyjne, dochodzące nawet do szaleńczego zarzucenia by można, przenigdy jednak „niedojrzałość czy niedorostłość do sytuacji“, lub „naiwną obojętność dla skołataną ojczyzny“, inaczej „niewyrobienie polityczne“, albo „indyferentyzm społeczny“.

WESELE CIOMPALANKI

Koło godziny 12-tej otworzono drzwi do jadalni i oczom zebranych z c. k. Sądu delegowanego miejskiego, c. k. Prokuratoryi i podprokuratoryi, c. k. Dyrekcyi Skarbowej, c. k. Urzędu Wymiaru i Należytości, c. k. Archiwum Sądowego, c. k. Policyi ukazał się wspaniale do biesiady urządzony stół z wieżą z czerwonego cukru i imionami nowożeńców na środku. Atoli okna musiano z konieczności (rektyfikowanych sumiennie) otworzyć, bowiem smród z przypalonego masła, oraz wrzekomo ścierki spalonej kuchennej był nie do wytrzymałości.

Uwierzytelniony jadłospis, zwany: menu a spisany na kartkach z zeszytu nieletniej Maci Ciompałownej, rączką nieletniej Pelci Ciompałowny brzmiał w dosłownem przepisaniu następująco:

Bhoef a la monde

Comsommme avec z jajami

Bouton avec Salade

Sparages

Blamagé avec vafles

Pommes des granates-Ementhaler

Caffe, Tee, Vine carte blanche.

Oranges, citrones

Vöslauer-Auslese. Soda Wasser.

Co wszystko wykaligrafowane, otoczone było malowanymi przez pannę Belcię Ciom-

pałównę kwiatkami, co się wytłomaczyć daje notorycznem i znanem w kołach sądowych powołaniem powyżej zaznaczonej nieletniej Belci do t. zwanej pospolicie sztuki malarskiej.

Ponieważ dostojnych gości usadzono wedle wyższej instrukcyi samego prezydenta Ciompały, przeto żadne uczucie pewnego rodzaju godności osobistej nie było na szwank narażone, wobec szacunku należnego rangom jakoteż dykasteryom. Po prawicy panny młodej siedział ksiądz Ambroży, atoli po lewicy pana młodego pan pułkownik Pitzschke von Pitzendorf, dalej pan nadkomisarz Moczymordowicz, ozdobiony przez Miłościwego Monarchę orderem żelaznej korony VI klasy z uwolnieniem od taksy i frachtu, poczem wdowa po św. p. staroście Friedmanie von Friedenau, znanym i wspomianym zaszczytnie z ukarania szubienicą trzech powstańców z r. Pańskiego 1863. Na końcu stołu oraz przy osobnym stoliczku między dzieciakami zaś ci, którzy nie mogli jeszcze wykazać się ani egzaminem sądowym ani adjutem, a z krewieństwa musieli być proszeni jakoto: syn kancyllisty Kisielewskiego, także syn pana ministra Rittnera, także syn woźnego Weissa z zawodu malarz pokojowy portretów. Którzyto młodzieńcy szybko przebrawszy miarę w trunkach wszcżeli zacho

wywać się nieprzyzwoicie niepomni zaszczytu, jaki ich (zresztą niezasłużenie) spotkał. Najgorszy zaś z nich syn pana Antoniego lat dwudziestu jeden, włosów ryżych, wzrostu słusznego, bez oznak szczegółowych, którego to, głównie obwiniony w onczas na grzeczną upominającą uwagę adjunkta konceptowego pana Cyconia, aby uciszył się, odpowiedział krnąbrnie propozycją pocałowania go w owo miejsce na ciele, w którym wszczynają się odnoża dolne u człowieka, inaczej nogi. Ten też inkryminowany młodzieniec doprowadził głównie według zeznań wszystkich naocznych świadków weselnych do karygodnego zakłócenia porządku weselnego, jakie miało miejsce po przemowie weselnej świetnie zestawionej i ściśle rzeczowej samego pana komisarza starostwa Alojzego Agapita Mendaczka, znanego ze skrupulatnej elegancyi w całym sądownictwie przynoszącej zaszczyt popularnej firmie izraelickiej: Heilmann Cohn i synowie.

Dnia 1 septembra b. r. wieczorową porą zebrało się wiele osób godnych, jakoto że od niego zacznę: prezydent sądu karnego, mający jedynaście córek i z tych trzy garbate, pan Mateusz Ciompała, poczem osoba, której wiecznie z uszu śmierzące ciekło, radca przydzielony do cywilnego Pry-

szczak, następnie radca skarbowy z ogromnym wólem na szyi, następnie komisarz skarbowy Moczymordowicz, następuje sam pan komisarz starostwa Aloisy Agapit Mendaczek, kolejno koncepiści: Fiedlertanz, Mauszman i dr Chlewec, jakoteż adjunkt podatkowy Cycoń, z auskultantystów Pyzaty, Pomidorski Floryan, Kapucynier Jan i dr Samuel Guttaperer.

Ostatecznie tedy sami swoi, że tak powiem wykształceni, bowiem tak w miastach jak i w Jaśle, Wadowicach, Bochni osiem klas łacińskich, studia uniwersyteckie pisząc po kancelaryach notaryalnych oraz magistrackich w Liszkach, Klikuszowy i Mielcu chlubnie dla narodu skończyli. Z całego zebrania pan komisarz Moczymordowicz był w „Widniu“, Antoni Pryszzak w Rabce i Żegiestowie, a dr Chlewik także nawet w takim Bostonie, gdzie cała jego rodzina zpod Nowego Targu pochodząca wyemigrowała.

Zebranie owo, jak już było wyżej wyszczególnionem, patrz pagina jeden, krytycznej nocy o której jest mowa, zebrane było u czcigodnego prezydenta Ciompały, bowiem najmłodsza tegoż córka panna Florcia, cierpiąca dotąd na chroniczny katar kiszek i fluksyę, wychodziła onego wzwyż cytowanego wieczoru za bardzo godnego właściciela kamienicy przy ulicy Zamtuzowej

nr. 1. 96, zwanej od pewnego uczonego jurysty ulicą Berka Joselowicza.

X. Ambroży Ciompała pobłogosławił młodą parę przy dźwięku organów i śpiewu *Veni Creator*, przyczem ciotce młodej panny z imienia Karolinie zrobiło się tak mdło, że na świętą posadzkę kościoła oddała dwa proszki antipiryny i pięć proszków kefalginny, co wszystko bierze na bole głowy, powodowane głównie podobno tem, że tak zwany wychodek czyli ustęp znajduje się u czcigodnych państwa Ciompałów między salonem a sypialnią jedynastu córek i trzech ciotek pani prezydentowej, co wszystko spi na materacach na ziemi, niestety Boże odpuść i okien nie otwierając, tak, że nie tylko siekierę ale i kowadło w atmosferze powiesićby można, a pokolenie urzędnicze karłowacieć musi, tudzież błednicom nie będzie końca.

Czterema karetami udano się w 55 (cyframi pięćdziesiąt pięć) osób do domu, wytargowawszy je po pięć złotych od karety, z powodu czego ciężar osób w karetach był dotkliwy, chociaż na kozłach usadowili się pan komisarz Witrychowski i pan subtytut Tiedemann z czego żaki uliczne oraz gawieź jadowicie i upornie się śmiała, a woźnice klęli, wymyślając najordynarniejszymi wyzwiskami i wysypując najprzedniejszą

dykasteryę z przeproszeniem jako ostatecznie było przed dom weselny, rzęście natą oświecony.

W salonie na fortepianie niemającym trzech strun, porozkładano bardzo gustowne prezenty dla państwa młodych, a więc: tuzin chusteczek z prawdziwego perkalu, tyleż łyżeczek do czarnej kawy z Neusilbru, tyleż nożyków do krajania jabłek w pięknym pąsowem pudełku, następnie naczynie na ciasta z zielonego pięknego szkła, oraz cu-kiernicę z aluminium, oraz aparat fotograficzny ceny o ile się pamięta z wystawy 6 złr. 76 krajcarów, oraz pięć losów św. Czerwonego Krzyża, oraz pulars z duńskiej skóry z tak zwanym centem szczęścia, błogosławionym w kościele św. Barbary itp. Nie należy końcowo przepomnieć całego garnituru z różowej porcelany w zielone ptaszki składającego się z miednicy, dzbana, puzderka na mydło oraz filiżanki nocnej, zwanej pospolicie nocnikiem na osób dwie, w potrzebie nawet cztery do pięciu.

Towarzystwo wzwyż wspomniane z doliczeniem płci żeńskiej w liczbie 29 sztuk, oraz nieodpowiedzialnych prawnie małoletnich w liczbie 7 zapełniło gościnne apartamenty prezydentostwa Ciompałów, póki służba wynajęta, t. j. lokaje (którzy jako karawaniarze wieczorem odprowadzili na miej-

sce wiecznego spoczynku suplenta Kawczyńskiego, zmarłego na tyfus plamisty) z pośpiechem i uszanowaniem nie nakryła do stołów wypożyczonych od miejscowych Izraelitów.

Zaznaczonem było poprzednio, jako oso-
by karygodny udział w zakłóceniu porząd-
ku weselnego biorący, przy osobnym sto-
liku, zwanym w sferach sądowych: katzen-
tiszlem siedzący, od samego początku ak-
cyi weselnej zdradzały usposobienie nienor-
malne, w wysokim stopniu uwłaczające wy-
sokim rangom szczęśliwym trafem zebra-
nym pod gościnnym dachem cytowanych
powyżej prezydentostwa Ciompałów. Zaraz
tedy z początku ucztę jeden z nich skosz-
towawszy napoju winnego z butelki, której
koszt nie przenosił 45 ct. w. a. (90 hale-
rzy), szybko posłał obsługującego lokaja,
nazwiskiem Fąferkę Andrzeja, przynależnego
do gminy Klikuszowa Mała do pobliskiego
handlu korzennego po 3 (słowami: trzy) bu-
telki szampańskiego wina i odtąd inkrymi-
nowane osoby owe wyłącznie to wino pi-
wszy łatwo usprawiedliwionem jest w stan
nietrzeźwości wpadły, czego dowodem stały
się wypadki, przewidziane w kodeksie kar-
nym i ustawodawstwie cywilnem Państwa
Austriackiego. Po przemówieniu wielebne-
go Xiędza Ambrożego Ciompały probosz-

cza z Kleczy Piaskowej na cześć Najmiłościwiej nam Panującego Cesarza Franciszka Józefa I., którego słowa wywołały u zebranych oznaki radości niekłamanej, powstał, co zaznaczonem być musi, nadspodziewanie syn byłego pana ministra Rittnera i w przynależnej ciszy zebranych, odpowiedniej uczuciom wywołanym powstaniem rodzonnego syna bardzo wysokiego dostojnika Monarchii Austro-Węgierskiej wygłosił donośnym głosem mowę na cześć stanu urzędniczego wogóle a sądownictwa w szczególności, nazywając całość urządzeń bezmyślną, ślepą starą Maszyną, a poszczególne rangi i stopnie kołkami i sprychami przeważnie zardzewiałymi, a mimo tę okoliczność zgodnie z ustawami obowiązującymi funkcjonującymi. Przy końcu swej mowy syn Jego Excellencyi Pana Ministra zapowiedział pewne, daleko idące reformy w wydziałach tak cywilnym jak i karnym oraz znaczne i niespodziewane awanse oraz przeniesienia w słowach: wnet atoli przyjdą czasy, kiedy społeczeństwa bardziej uświadomione wydzielią ze siebie jako niepotrzebny ekskrement tę klasę pasożytną, kosmopolityczną, barbarzyńską i upartą. Szczególniej zaś Galicya, przychodząca z dnia na dzień do narodowego samopoczucia powinna „unaradawiać“ te „elementy“ „cze-

sko-szwabskie". Niechby marasmatyczne okazy fauny biurokratycznej awansowały sobie w całej Cis-Litawii na chefów sekcji, k. u. k. Hemoroidariusów, ale niechby w Galicyi raz szerzej można odetchnąć bez obawy wciągnięcia w płuca setek „laseczników lojalności“, »formalistyki«, „opportuniźmu“, „karyerowiczostwa“ pełzania i t. p. Przeto niech żyje urzędnik obywatel, urzędnik-Polak, a niech przepadają kółka i kółeczka centralistycznej „Maszyny“, niech ginie typ urzędnika-matołka, urzędnika kosmopolity... Takowe to mniej więcej w przybliżeniu przemówienie młodego mówcy z Widnia przyjęto słusznie oklaskami i serdecznymi podziękowaniami. Poczem poprzód poprosiwszy o głos pana prezydenta, w sposób przepisany zabrał głos powstając sam pan komisarz starostwa Alojzy Agapit Mendaček, słynny w kraju oskarżyciel w sprawach karnych, wsławiony szczególnie z rozprawy socyalistycznej w r. 1883 wytoczonej przeciw młodzieży, szerzącej w Galicyi Zachodniej oraz Księstwie Krakowskiem zasady szwajcarskich komunistów Werlena, Bodelera, Marsa i Lassala. Mowa ta w streszczeniu odpowiedniem brzmiała następująco: Z całą stanowczością opierającego się na rzeczowych dokumentach to se naziwa mit verantwortlichen Gewissen eines Staatsbe-

amten przychodzi mi tu zacytować słowa znakomitego dyplomata galicyjskiego namiestnika świętej pamięci grafa Stadiona wypowiedziane niegdyś do świętej pamięci dyrektora policyi Sacher-Masocha: „Ein Bärenland kann in kurzer Zeitfrist in ein Schaffenland verzaubert werden nur mit Hilfe eines *stark organisierten Beamtenstandes*“... To se i my dożyliśmy czasów jako w naszych miastach jest kanalizacya a tro-tuary, a rozmaite kasyna a to kawiarnie ze wszystkimi niemieckimi, światowymi pisma-mi a to i bardzo wielu z nas rodaków w ministeriach i sekcyach, a największe cyrki do nas przyjeżdżają i variete-Teatry a przed kilkoma laty dożyliśmy nawet dass der fa-mose Barnum był w Krakowie. Das sind die Thatsachen und alles das verdanken wir einer Pflicht- und Dynastie-treuen Dickasrei, której chlubą, ozdobą, eine wahre Perle to se jest pan prezydent Ciompała, na którego śliczinkę jej pridupnik dziś, den vierund-zwanzigsten September iure primae noctis, einsteigen wird...

W ten dla przykładu i naśladownictwa zacytowany porządek zwięzłym i pięknym urzędowym językiem przemawiał pan pod-prokurator pół godziny i trzynaście minut mimo kilkakrotnych przerywań ze strony zuchwale i coraz swobodniej zachowujących

się młodzieńców. Dopiero na niestosowny okrzyk któregoś z nich w języku urzędowym brzmiący: Schluss Du Kron-Kretin! czuł się zniewolonym zakończyć swe przemówienie sam pan komisarz starostwa toa- stem na cześć nieobecnego nadprokuratora, nieobecnego prezydenta Apellacyi oraz dodatkowo pary nowożeńców. I wtedy to, wśród niemilkącego aplauzu, potakiwań i życzeń serdecznych ze strony wszystkich, mimo napomnienia jakoś i rady współto- warzyszy, (co musi być tutaj protokółowo wciągniętem) mimo protestu specjalnego komisarza skarbowego Moczymordowicza, przeczuwającego agresywny stan umysłu obwinionego, wskoczył wedle naocznych zeznań świadków na krzesło syn emeryt. radcy sądu cywilnego pana Antoniego, dziś już śp. Sowizdrzał i trzymając w ręce na- czynie z wyżej wzmiankowanem winem szam- pańskim, obrażającym godność wszystkich pijących legalne Vöslauer wygłosił mowę, jakiej podobnej nie znajduje się w całym Archiwum Sądowem c. i k. miasta naszego, a noszącej wszelkie znamiona zbrodni gwałtu publicznego, obrazy moralności, nieposza- nowania ustaw prawno-państwowych, lekce- ważenia i pogardy stanu sędziowskiego, po- gardy i dla całokształtu procedury cywilnej i karnej, wszystkich z was zagrażającej spo-

kojności publicznej i całości Monarchii Austro-Węgierskiej, a noszącej wszelkie znamiona szaleństwa t. z. *demetia iuvenilis progressiva* obowiązujących paragrafów. Mowa ta, nie kwalifikująca się do publikacyi, z opuszczeniem uwłaczających Monarchii Austro-Węgier i skonfiskowanych, ustępów brzmiała jak poniżej:

...W złotych kołnierzach puste głowy!...
 Monady w pirogach! amfibie biedne!... rze-
 zańce emerytowane! Głodomory konceptowe
 alskultanty bezbrzeżnej ducha nędzy...
 Niech wstanie tu jedna kreatura, co wie
 kto Spencer? Kto Crookes? Kto Haeckel?
 Kto Harnack? Kto Mieczników? Kto Ave-
 narius? Hola trzodo Panurga! Milczycie
 piargi marności?... ...Zapłużą rzemienie skrę-
 cone w zgiętych plecach referujących mró-
 wek!... Pył z waszych akcisków huragany
 jutra rozproszą w niebyty!... Kamień na ka-
 mieniu z waszych c. k. kancyllaryi nie osta-
 nie. Mówicie za nami Wideń, co nam po
 „Mickiewiczach“?... Świat wam Hekubą. Lud
 wam Hekubą, społeczeństwo wam Hekubą,
 ziemia wam Hekubą!..... Martyrologią na-
 rodu kopie swego każdy skrybacz za kan-
 celaryjnym sztańcem, syzyfowe prace za kor-
 donem wydrwiwa każdy pomiot z egzami-
 nem sądowym i c. k. adjutum!Mało na
 was deszcz kamienny z za barykad i illu-

minacya na latarniach rozmnożone w małych miastach i wyległe w światło pokraczne robactwo..... Idą czasy co was zmiętą Ciompały!... Niech wstanie ta kreatura, jedna kreatura, co wie kto Mierosławski? Kto Limanowski? Kto Jeż Miłkowski? Kto Kunicki? Kto Żeromski? Kto Orzeszkowa? Kto Szymański? Kto Sieroszewski?.... Milczycie wystraszone blade, dygocące w reumatycznych więzadłach kolan, wiecznie skrofoliczne, wiecznie anemiczne parodye obrazu i podobieństwa boskiego?... ..Nic wam cały naród bando, kiedy macie emeryturę po 30 latach gnicia i parszywości!... Mówicie: najpiękniejsi ludzie to J. E. Dunajewski i J. E. Gołuchowski i J. E. Biliński i J. E. Bobrzyński..... A ja wam mówię. Najpiękniejszy człowiek to ten, co wysadzi w powietrze Biurokracyę galilejską..... ..Mówicie: za nami Wiedeń, co nam po „Warszawiakach“!..... A ja wam mówię: Wiedeń przetrwa, Warszawa przetrwa, a z was będą tylko błazeńskie operetki i kuplety o starym prezydencie, co oszalał nie dostawszy Żelaznej Krony III. kl. A teraz przepadajcie!..... Adest ex ossibus vestris ultor! Niech z tej biednej Florci Ciompalanki i jej małżonka kamienicznika z Zamtużowej ulicy zwanej Passażem Berka Joselowicza, porodzi się symbol wasz! niech się wypełni

owo misterium cellulae! Niech mu ziemia c. k. Galicyi na którą wstąpi będzie lekką..... Niech się stanie zadość słowom Sowizdrzałowym: A wynijdzie z pośród nich koszmar ohydny z olbrzymią na cienkiej szyjce wodną głową, opadającą bezwładnie, zielonymi muszlami uszu i potwornymi gałami oczu, wypadającymi na nitkach z oczodołów. Ten ci jest, który za nimi świadczyć będzie i w świat zejdzie na cieniutkich rachitycznych odnóżkach z wielkim opadającym we fałdach brzuchu. A na imię mu będzie Biurokrad!

I w ten to i podobny onemuż sposób, do zapamiętania całkiem nie kwalifikujący się a wykazujący jasno wszelkie znamiona wyżej wzmiankowanego obłędu, wzmocnionego powyżej cytowanym nadmiarem w użyciu napoju wyskokowego zwanego: szampańskim (jako że ino szami panowie go pijają) przemawiał nadal wyrodny syn pana nadradcy, rzeczony dzisiaj już zmarły Sowizdrzał. Od onego to czasu żywiły tż. wywrotowe i rozstrojowe, ośmielają się na określenie ck. urzędników ck. Cislitawii w ck. Monarchii używać obrażającego słowa: biurokrad zamiast do tych czasów powszechnie używanego biurokrata.

Prześwietną ck. Prokuratorę uprasza się tedy o wciągnięcie poniższego oskarżenia

w prześwietne akta ck. Sądu karnego nie w celu jakiegokolwiek przedsięwzięcia dochodzenia sądowego przeciw zmarłemu, a jeno ku wiecznej rzeczy pamięci i przykładu do czego może doprowadzić nie złożenie egzaminów rządowych na wydziale prawnym oraz wzgarda do jedynie pasującej uczciwym familjom ck. Lodomeryi (wraz z Wielkim Księstwem Krakowskim) wzwyż cytowanej dykasteryi urzędniczej.

Na tem doniesienie takowe szluszuję.

FRAGMENT

Z KLECHDY STAROPOLSKIEJ (W KTÓREJ
DZIEWIĘCDZIESIĄT DZIEWIĘĆ PROCENT
SŁÓW JEST POCHODZENIA OBCEGO).
MANIAKALISTOM PURYFIKACYI JĘZYKOWEJ KU PAMIĘCI.

Wędrował tedy Walgerz do króla z lamentem na rycerza z Melsztyna, niechędogiego pogana, rabusia, szakala.

Za nim szlachty huf na bachmatach pod herbowymi chorągwiami w rynsztunku jechał szykownym ordynkiem jak na fest czy taniec turniejowy. Ci z mieczami luźnie przewieszonymi z ramion na bławatnych pasach, owi jeszcze z łukami. Sam Walgerz w drucianej koszulce był, w łańcuchu misternego kunsztu z ryngrafem polerowanym; z rumaka mu się zwieszał czaprak szkarłatnej barwy.

W sercu Walgerza wrzał rankor na gwałty Melsztyńskiego żupana. Wart był stryczka ten rycerz, topora lub celi w turmie. Dzięki jemu tyn Walgerzowy legł w gruzach. Zerwany dach z gmachu, w ruinach komnaty i izby, rozbite w nich skrzynie i graty, potłuczone zegary, powyrzucane ze szaf żupice jedwabne i maneł perłowe a zrabowane w szale nie jeno pieniądze ze szkatuł aleć i ćwieki

ze stołów powyrywano. Jechał skarżyć swój los i swoją hańbę królowi Lachów Walgerz, rachował na glejt i dekret gorazdego włodarza. Tylko u króla co jak anioł berłem swem warował szanowania rycerskiego mógł szukać ratunku i leku na swą ruinę, nie chcieli zebrać.

Wędrowali tedy Walgerzowi rycerze forytarze przez gaje bukowe i rude miedze, aż stanęli nad strumieniem Wisły, po brzegach której gmin łowił dla krotofili wędkami małe karpie i karasie. Wsiedli u brodu na trawę i przeprawili się na brzeg drugi pod szanec królowego grodu, co rej wiódł między grodami Lachów. Bramą passamonników wjechali w gród.

I rumor szedł po placach, że wjeżdżają rycerze. Gwarnie wyległ gmin na rynki celem zobaczenia Walgerza.

Jechali podle ratusza, gdzie pod budami w krobiach i misach sprzedawały rajfurki trześnie, a to w kadziach ocet a wino a inne trunki najtrefniejszego gatunku, ba nawet rzodkiewek im a róż nie brakło.

U Fary roły się żaki czekające pod tumem na prałata ażby ten wyszedł z dziekanki w swej litej komży na

nieszpor czy mszę, by chrześć dać
jednym a bierzmować drugich; z ko-
ścioła słyhać było chóry z nut kun-
sztownym trybem kolendujące.

Podjeżdżali pod mury pałacu. I snąć
już ich trafem spostrzegł ochmistrz
brodaty, gdyż w tej chwili uderżono chy-
żo w kotły na gankach a trębacz e
zagrali hejnał na surmach.

I t. d.

Z REPERTUARU KABARETÓW
„ZIELONEGO BALONIKA“

I
„FIGLIKÓW“
FRASZKI I PIOSENKI

*Monolog Marchołta na otwarcie jednomie-
sięcznego Teatru: „Figliki“.*

(—Na proscenium wchodzi Marchołt ze zwier-
ciadełkiem za pasem i zaświeconym żółtym
ogarkiem świecy w prawicy. —)

Dostojna Ciżbo! Gwarnoszumny tłumie
Cna zbieranino z ulic i z opłotków
Oto najstarszy z twoich przednich przod
[ków

Wita cię dzisiaj w wesołości tumie
W pagodzie fraszek, w dowcipu gontynie
Wita cię Marchołt opasły i sprosny
Wieszcząc, że będzie tu nastrój radosny
I wszystko śmiechem w niepamięć prze-
[płynię!

Dostojna Ciżbo! Panowie i gachy
Wielcy i mali! Chamy i ciarachy!
Sssaki brzuchate i rayce sławetne
Buziaki cudne i paszczęki szpetne
Mężatki zdradne! Kawalery jurne
Czupurne ćwiki i łyki obskurne!
Żaki przemądre! Stare bakałarze
Swędry uliczne! Biurokraty wraże!
Marchołt dziś do was mówi, nowość głosi
Z najstarszej polskiej książki zszedł, wskrzęś
[i krzyka

Niech się nuda z Krakowa na zawsze wy-
[nosi!

Niech ztąd dostawszy cięgi, dalego umyka!
Niech zochydzona będzie gnuśność podwa-
[welska

Niech się zerwie tradycja ospałego miasta
 Niech tu władza Królewska Jego Mość dya-
 [belska

Niech się bawią jak niegdyś anioły u Piasta!
 Niechaj się sypią jako z Amaltei rożku
 Potroszku fraszki, baraszki, figliki!

Niech tu wierszem panuje kultus dla pod-
 [wiki

Niechaj ofiary palą Bachusowi bożku!
 Niech tu się jak w zwierciedle przegłądnie
 [świat wszystek

Takim, jakim on w prawdzie iści się i żywie
 Niech tu będzie ośmiewan nawet i dotkliwie
 Wydmikuł autorytet, Idealist chłystek

Niech tu wszystko przekształcą w jadowite
 [wice

Makrokosmu tragoedję, mikrokosmów fazy
 Niech tu wszystkie wartości przenicą na nice
 Przez osobistej toli nikogo obrazy!

Niech wreszcie raz nad Wisłą zagości szal
 [pusty

Niech się przypomni błazen i prastara jur-
 [ność

Niech szczególnie raz przekłeta pogrobowców
 [chmurność

Niech się śmiechem rozleją niebiańskie
 [upusty!

Dość już długo na strunach brzmiały wie-
 [szczów żale

Dość już długo się Polak pławił w misty-
 [cznościach

Dziś czuję życia fale w pełnych szpiku
 [kościach

Więc w wesoły dzwon bijem silni w mo-
 [cnym szale!

A ja Marchoń! opasły człek i mocno sprosny,

Którym na pierwszej polskiej figurowan
 [księdze
 Klnę dzisiaj smętno - głupią przyniewolstwa
 [nędzę,
 I wieszczę wam nadejście nowej, szczęsnej
 [wiosny!
 Czas nam uderzyć w surmę drugą, z innej
 [nuty!
 Zdjąć z łysin wianek ruty a nawdziać z róż
 [suty!
 W firmament socyalnymi chmurami zasnuty
 Puścić promienie starej wesołości! lutej!
 Wam — czas dukata dobyć z skrywanej sa-
 [kiewki
 Z za cholewki... i złożyć na Ołtarzu śpiewki
 Krewkiej ku czci kochanej dziewczki czarno-
 [brewki
 Szampanusa, węgrzyna i starej nalewki!...
 Tym kształtem tu się śmiechu funduje ka-
 [tedry
 Imienia IMCI Reja i grabiego Fredry
 Tym kształtem konfraternia dzisiaj tu się
 [tworzy,
 Każdy z nas swą cegielkę pod fundament
 [łoży
 A o Nowym Babinie gdy powieść w świat
 [gruchnie
 Dojdzie w Poczdam, w Peterhof i w Car-
 [skoje Sęło
 Lohengrinowiz strachu może ozór spuchnie...
 „Wiesielą się Palaczkij już? nu to złe dzieło“.....
 A ty też zadrzyj w łydkach publiko do-
 [stojna
 Boć się zaczyna z Tobą krotochwilna wojna
 Zatoczone armatki przeciw Wszeteczeństwu!
 Stańczykowemu wrota otwarto błazeństwu

Drżycie w łydkach trzy Polskiej Koła dy-
[plamacy]

Drżycie w łydkach feudały! Drżycieź so-
[cyaliki]

Z stuletniego uśpienia budzi się Mąż dziki:
Satyr, by zepsuć szyki myślom aberracyi!
Narodowe augury! Pocieszne figury!

Hola wyłażcie w światło! Jest tam który?
Wszystkich was europejskich trybów idąc
[wzorem]

Oświeślać ztąd będziemy naszym reflektorem.
Monacowe herosy! „Union Clubu“ chwały!

Ugodowego głupstwa oratory szumne
Pudle anti-szambrowe! Pałki durno-dumne
Sambelanów bez króla poczcie okazały!

Ronachera sztampasty! Tinglowe łązęgi
Pokerowe kostery! wintowe mitręgi
Ciemięgi artretyczne! Knajpowe obżerce

Hawełkowe bomb knechty, żonom przenie-
[wierce!]

Zdzierce na lokatory! kamieniczne pany
Węglarzowie despoci! Rzeźniczkie tyrany
Giełdziarzowie przechytre! Bankierzy okrutni,
Gazeciarszowie w blagach wiecznie bałamutni
Neokonserwatyki bardzo mądre ćwiki
Ignacemu czarnemu wierni Lojolowi,
Ignaca czerwonego Wicki socyaliki!

Filary powsinogiej „kultury u Lwowi“
Nowomodne warchoły prusackiego sztychu!

Rymorobi kudłuci podobni ku lichu
Mecenasowie pytle i rejeny Milczki
Auskultantowie prawa, karyer głodne wilczki

Sodalisi Wenery! Muskane buffony!
Studentki z nocnych kawiarni, emancypan-
[terki]

Wyzwolone dziewczynki, kojcowe heterki!

I wy swym mężom znowuż na zbyt wierne
[żony

Wy nocne Amazonki i wy bojowniczk
I tylko tyłem grzeszne w cnocie półdziewice
Drżycie przed światłem Marchołtowej świe-
[czki

Którą ja ciemnie waszych wnętrz rozświecę!
Zadrżycie wszyscy! wszyscy! bowiem ni-
[nie

Prawda już idzie do Was w całej krasie
Nagutka, ino w jednej koszulinie
Z świeczuchną w ręce! Z zwierciadełkiem
[zasię!

Z was, coście przyszli tutaj by po wczasie
Śmieszność swą widzieć, która wokół słynie
Ci w altenbasie a tamci w atłasie,

Prawda, maleńkie dziecko naśmiewa się.

Prawda, co jako żywo nie zaginie

Prawda co młoda wciąż odradzać zda się!

Z nią idzie stary Marchołt! Ten niegdyś
[przegadał

I Króla Salomona! Taka to już szelma:

Dziś on chyba i może jeden by się nadał....

Doprzegadania Klowna pewnego...: Wilhelma.

*Z III. Aktu Operetki P. T. „Piękna Ruja“
Kuplety: „Pięknej Mamy“.*

Gdy Henio miał dwadzieścia lat
Uśmiechał mu się cały świat ,
Blondynki i brunetki
Ascetki i kokietki
A Henio wszystkim bywał rad
I wiódł je na kozetki
Miał światopogląd letki
Chór fortissime: Miał światopogląd letki!

Gdy Henio doszedł mężkich dni
Świat czczył w nim genjusza
Do kobiet jednak wierzcie mi
Nie zbrakło animusza
Porubstwu zatem bywał rad
Wiódł roje w otomany
I piękną główkę nisko kładł
I Henio był kochany

Chór fortissime: I Henio był kochany!
Lecznadszedł smętny Henia czas
Że lud w nim wielbił boga
Miał Henio z ludem ambaras
Kompromitacyi trwoga...
Więc rajom ziemskim nie był rad
Bo się cokolwiek... starzał
Lecz głowę w ewangelię kładł
I smętnie dość powtarzał:

Chór fortissime: I narodowi kazał!
Minął już dla mnie piękny czas
Choć wciąż fantazyja buja
Nieczuję teraz dziewcząt kras!
Raj passe! Tout lasse! Oj ruja!
Chór fortissime: Raj passe! Tout lasse! Oj ruja!

*Z Warszawskich tasiemców Epifamiusze
Klaskowskiego „ex-właściciela Kaprawej
Wólki“ i biliardera rymów częstoczęstocho-
wskich.*

Iuż nadszedł
Piękny maj,
Pogodę
Bozia daj!
Kwitnie mak,
Kwitnie bez,
Konwalia
Kwitnie też,
Bada wnet
Rzodkiewki,
Sałata,
Marchewki.
Więc Zosiu
Buzi daj,
Bo nadszedł
Piękny maj.
Ale mnie
Bierze dreszcz,
Że jutro
Będzie deszcz,
Oj dana
Dana da,
Zosiuniu
Kochana.

Po maju
Czerwiec już,
Po czerwcu
Lipiec tuż,
Dojrzeją
Pożyczki
I agrest,
Groch w tyczki.
Więc Zosiu
Buzi daj,
Bo nadszedł
Cudny maj.
Pogodę
Bozia da,
Oj dana
Dana da.
Chłop w pole
Pójdzie hej,
Strzelec zaś
Znów do kniej,
A tylko
Dekadent
Wypije
Atrament,

Ukradnie
Zegarek,
Wezmą go
Do Tworek.
A niech go
Tam trzysta,
Bydlak mo-
Dernista!

Ty Zosiu
Buzi daj,
Bo nadszedł
Śliczny maj,
Oj dana
Dana da,
Zosinko
Jedyna!

*Ostatni halebarnik krakowski — Tragiczne
zawodzenie po zwinięciu drużyny średnio-
wiecznych stróżów nocnych, odśpiewane przez
Grzegorza Pypcia z Krowodży lat 63 li-
czącego, ostatniego halebarnika miasta
Krakowa.*

Hej panowie włóczykije!
Już dziesiąta głośno bije,
Niech się każdy w dom zabiera
Bo inaczej czeka szpera
Spóźnionego kawalera.
Dość hulanek, dość bilardów
Dość teatrów, dość hazardów!
Pora wracać do swych bud
Już przeminął dzienny trud
Cicho ma być jako wprzód.

Hej Tomaszu! Marku! Piotrze
I ty z Maryackiej kmotrze!
Czuwać wszystkim wam się godzi
Czy nie wkrada gdzieś się złodziej
Czy z pożaru dym nie... smrodzi.
Już godzina jedynasta
Śpi połowa ludzi z miasta
Czuwa tylko młoda parka
Walkówce. W blasku ogarka
Filozof, co na świat sarka.

Hej panowie gospodarze
Już dwunasta na zegarze!

Spijcie błogo marząc smacznie
 Długo jeszcze nim się zacznie
 Dzień. Stróżę czuwają baczenie.
 Dajcie spokój połowicom
 Nie ruszajcie je prawicą.
 Niech spoczną po dziennym trudzie
 I jak powiadają ludzie
 Po „przyjacielu domu“.... paskudzie.

Hej panowie libertyny
 Tam jadące gdzie.... dziewczyny
 Wiedźcież; chociaż wam to śmiech
 Kupna ruja ciężki grzech
 Niech was dyabeł strzeże, niech!
 Już wybiła z godzin pierwsza
 Przeżegnać się nasamprzaw trza
 A potem wleźć pod pierzyny
 Golnąć sobie mocnej krzyny
 I nie budzić już Maryny!

Hej u hrabstwa bal nad bale
 Oświecone wszystkie sale!
 Tańczą panie, panny, pany
 Przed pałacem śpią furmany
 A świat śniegiem zasypany.
 Człowiek biedny dzieci kleci
 Na czym mu czas szybko leci,
 Na zegarze biła druga....
 Czuwa tylko stróż, wasz sługa
 I ku księżycowi mruga!

Hej panowie miasta rayce
 Czy wy wiecie, że nas kraj chce!
 Halenbardów lud nasz kocha.
 A wy do ludu pieszczocha
 Mówicie fora! wynocha!

Hej słyszycie Piotrze? Janie?
 Kubo! co się u nas stanie?
 Macie w dyabły iść kamraty
 Tak kazały magistraty
 Biednych stróżów srogie katy!

Hej panowie bije czwarta
 Na bok flaszka, na bok karta!
 Na bok ciało woniejące
 Wszystko już jest bardzo spiące
 Zmęczone nogi i ręce!
 Już ostatni raz tej nocki
 Broniliśmy ciszy grodzkiej
 Teraz już zostanie gród,
 Jako nie bywało wprzód!
 Bez halabardniczych bród

Kończy piosnkę mówiąc:

Co jest wstyd, obraza Boska i szelmoska
 secessya jakiej świat i Korona Polska nie
 widziały. Tfy! Tfy! Tfy!

*Z Balu na Saskiej Sali na dochód wsty-
dzących się żebrać „literatów“ odbytego :
Duet. Muzyka: „Rose mousse“ walc Bosca.
wydany jako dodatek ś. p. Echa Muzycznego,*

DZIEWICA

(w tiule spowita w pantofelkach atlasowych
o jednej podwiązce wciąż opadającej, pod
paszkami zaperfumowana Verą Violetką (po
30 cnt. pół litra) tańcząc śpiewa):

Ach nie przysiegaj pan
Że tak bardzo kochasz mnie,
Bo dobrze wiesz to sam
Że na balu to jak w śnie, jak w śnie!
Że tu wkoło światła blask
I balowej sali czar
A gdy dzienny wejdzie brzask
Będę panu jedną z mar, ach mar!

FATYGANT

(w pożyczanym fraku, lakerach wziętych na
„słowo honoru, że po pierwszym zapłaci“;
z pięcioma guldenami w portfelu, wziętymi na
poczet cyklu sonetów pt.: „Rajskie wesela“
z Redakcyi „Najmłodszej młodości“; tańcząc
śpiewa):

O nie pani, wierz mi szczerze
Tak jak sobie ja sam wierzę
Kocham cię jak wróżkę z gór
Kocham cię jak promyk z chmur!

I choć minie urok sali
 Nie zapomnę tej rozmowy
 Nie zapomnę, żeśmy słowy
 Już na wieki się związali

DZIEWICA:

Lepiej nie przysięgaj pan
 Mówię szczerze jeszcze raz,
 Bo może nadejść czas
 Będziesz żałował tego sam... ach sam!
 Bo co rzuca w walcu trzpiot,
 Kłopot z tego może mieć.
 Może potem... kiedyś... chcieć ach chcieć
 Uznać za... fantazyi lot.

FATYGANT:

Pamięta pani dzień
 Czas był słonecznych lśnień
 Poszliśmy sobie w stary sad
 Cień się dokoła chłodny kładł.
 Dusze nam błogi objął stan
 Gdzieś grał na fletni bożek Pan
 A jam z temsamem zwierzał się
 Nie widzę świata tylko cię.

STARY:

(wytwórca dziewicy, w cuchnącym benzyną
 galicyjskim szlussroku, pod ścianą nachy-
 lony do współwinowajczyni swej w wytworze-
 niu powyższej dziewicy, także śpiewa):
 Patrzno matka, proszę cię
 Z Zośką flirci facet tam
 Tańcząc walca. Dowiedz się
 Kto to jest? I jaki jego stan?
 Czyjim synem chłopak jest

Może w sam raz dla niej mąż
Kiedy tańczy z Zośką wciąż...
I obejmuje ją tak fest! tak fest!

MACIEŻ:

(otyła dama w stylu klucznicy, w sukni prze-
robionej z kanapy b. uczęszczanego pro-
wincjonalnego zajazdu. Taka także śpiewa):

Zosi danser to poeta
Znany bardzo w całym mieście
Za pijaństwo był w areszcie
Jeszcze nie chodzi po kweście
Kto go rodzi, skąd pochodzi
Rzecz ta jakoś coś jest mglista
W każdym razie, oczywista
Ani nawet dyurnista!

FATYGANT (tańcząc do dziewczicy):

Ach ten czarodziejski bal
Uniósł serce w toni fal
I pod stopy twoje pani
Kładnie serce jak w przystani!
Tylko spełnij białe sny...
Wierz mi, jam nie człowiek zły...
I przyjdź jutro sama nad wieczorem
Tam, gdzie w parku słup z Amorem....

DZIEWICA:

Ach mój panie! twe wezwanie
Tak przychodzi niespodzianie
Nie wiem co mam począć z niem
Czyli iść za głosem twym.

Gdybym serca usłuchała
 Wierz mi! wierz mi kusicielu
 Pierwsza w parku bym czekała
 Pod Amorkiem... tam.... u celu.

FATYGANT:

Więc usłuchaj serca raz
 Ty przeboska gwiazko z sfer
 Nie daj sercu, by jak głaz
 Straciło swych uczuć ster! ach ster!
 I przyjdź jutro, gdzie cię już
 Będzie czekał Farys twój
 Z wiązaneczką bladożółtych róż!
 Zacznij z przesadami bój, ach bój!

STARY:

Idźno już matka, Zośkę bierz!
 Ranek się blady w okna wkradł....
 Człowiek by barszczu nieco zjadł
 A potem spać już poszedł też.
 Nie dla poety Zośka jest
 Poety, co bez rangi człek
 I żyje tylko z pism i z kwest
 Nie wie co bank, co kont, co czek!

MACIEŻ (do dziewczycy)

Zosiu droga proszę cię
 Bardzo zmęczon papa nasz
 Tobie płonie dziwnie twarz
 Aż to niepokoji mnie, ach mnie!
 Żegnaj pana, który jest
 Posiadaczem słońc i gwiazd!
 Odtąd jednak tańcz ognisto
 Z adjunktem lub koncepistą!...

DZIEWICA (żegnając się z fatygantem):

Żegnam pana! mama już
 Zbiera się, by z balu iść
 Dziś słowom kres! Cóż począć, cóż?
 Trudno! Muszę jutro przyjść.
 Więc przyrzekam. Będę tam,
 Gdzie z Amorem w parku słup
 Pośród gęstych drzewek grup
 Nasze .. pierwsze sam na sam

FATYGANT:

Dobranoc pani, panno Dzizio!

DZIEWICA:

Dobranoc panu panie pan!

*Kłaniają się sobie i rozchodzą się w przeciwne
 strony.*

Litania Sowizdrzała (gdy miał wiosen dziewiętnaście).

Psalm śpiewam na te czasy podle zasepione
I na ludzką simplicyą zacną antyfonę!
Aczci szpaczkując ino z szpaczkowania żyję
Na tych co sromu zbyli srogą litaniję.
Ledajakie dokoła nierogate dusze
Bacząc, iście plugawe w sercach animusze
Ja wichrowaty z żartką w żyłcach juchą
Pieśń śpiewam, co przewierci zamulone
[ucho.
Kamień z procy mądrości rzucam w Pol-
[szczę ciemną!
Seympiekielny zaczynam, sowizdrzałskie Veto.
Konterfietować każdą gębę nieforemną
Zaprzysięgam, aczcim lichym wierszokletą.
Tu, gdzie cnota w pomietlech, ano chytrość
[w cenie,
Każdemu do przejrzenia zwierciadełko da-
[wam
Z wszelkich gatunków szpetnych wybieram
[nasienie
Dla zwierzyńca polskiego, a sam pobok
[stawam.
Korab pełen tytułów, a wżdy adoracyi
Próžen, ku wesołości braci z Lackiej nacyi
Na ocean bałwanów puszczam w głupstwa
[fale
Aż zdole bez żagłów spływać doskonale?
O znajcież waszmościowie! nie lada pan
[ze mnie!

Ja w jasnościach, gdy wszyscy wciąż bro-
[dzie w ciemnie

Ja rybał młody, prawdy wiatrem opętany
Krawcem będę koronnym, ubiorę wsze stany!
Kurty skroję hołocie, co siedzi na złocie
A tu ojczyzna do cna liszeje w sromocie.
Wykurzę ze łbów fochy, pognębię pieszczo-
[chy,

Z pedantami poigram jako skoromochy.
Zacnie polerowany rozum tu się nie opłaci
Ten głupotą zyskuje, kto rozumem traci,
Magistra nauk wszelkich wyśmieją mydlarze
Łaziebnicy, szynkarze ano stare łgarze
A cię pomiauczyć jeno udolą po szkolsku
A. B. C. Hokus Pokus a głupio po polsku.
Wždy najciemniejsi w Polsce Jaśnie Oświe-
[ceni

Niby krwią są cisawą a pomiotem ziemi
Co się wojewodami w rodziech biskupami
[puszą
Z mózgiem wodą zmierzionym a pługawą
[duszą,

Jako że za dukaty i czerwieńce pruskie
Za sprzedaną Ojczyznę, dzisiaj i koniki
I podwiki najgładsze mają a figliki
Takowych chwali książę pruskie i rakuzkie.
W Pażyżu wyuczeni czytać na psaltryzu
Umieją z igły widły zrobić, z owsa ryżu
Z hańby — niewoli zakon cny dla młodszej
[braci

Psu to braci, ojczyzny bakałarze..... kaci.
Drzewiej król Polski August jednego stań-
[czyka
Miał co trefnował czyście!, dziś gdy król
[z patyka,

Chochoł, stańczyków setka nowe setki mnoży
 Dyabeł z tego plugastwa świat nie wychędoży
 Przodkują narodowi odmieńce i swędry
 Statysty mięsopustne, hardodurne panki
 Pod wiechą obradują nocą, każdy mędry
 A u dziewcząt pijani przesypiają ranki.
 Dla tych kaźni zabrakło, ano hańby słowa.
 Gdy jedni zdrajce szpetnie frymarczą, po-
 [łowa
 Zaś gnije liżąc ostro białogłowy sprośne.
 Mitry polskie zaś noszą ledacznice głośnie.
 Abych ja was niepłodne królewietą zgniebił
 Dziewosłębił Wami Śmierci i tryumf otrębił
 Świata: że w Polsce święto, jutrzeński świ-
 [tanie
 Podłej chłopskiej sukmanie wraca królo-
 [wanie!!
 Panki to wstałej zgodzie z plebanami z kle-
 [chę!
 Lizanie to ich mózół a kanon pociechą!
 Takież są owce w trzodzie jako i pasterze
 Co gwałcą dziewczki w sieniach a mruczą szka-
 [plerze!
 Drzewiej złoty ksiądz z kubiów drewnych
 [lał bogom ofiarę
 Dziś ksiądz z złotych pucharków cycka winko
 [stare
 Lud ołgiwa mizerny, baby stare pieści
 A Bóg się nie upomni utraconej cześci.
 Drzewiej Chrystus mył nogi lichym dziadom
 [w ładrach,
 Dzisiaj się klechy pławią w złota pełnych
 [wiadrach
 Na chwałę czarta radzą, jakby rozum skrócić
 Jakby prawdę zgwałciwszy do lochów ją
 [wrzucić.

O ty wędzikaletów rodzie, darmożjadów!
 Odmigardzielów srogich, obżerców, bibusów!
 Przewielebnych piwnicy stróżów i nygusów
 Niechlujnych i niesromnych warchlaków
 [i gadów,

O wy franty w komeżkach, sufragany szpe-
 [tne!

Łapikury łakome, piewcy Barabasza!
 Jakoż ja jak Herakliusz łeb tej hydrze zetnę
 Jakoż ja powymiatam tę stajnię Augjasza.
 Obych ja na was Polski pluskwy jadowite,
 Odnaszedł gdzie palącą śmierzci akwawitę!
 I przepędził gdzie roście pieprz i wszyscy
 [święci
 Wstydem pokrócił, z ludzkiej wyżenił pamięci
 Szczeźnijcież raz trujący studnie gładkopyski!
 Ojcowie w kółkach na łbach precz od pol-
 [skiej miski!

A wy obok idące pary z Tańca Śmiechu!
 Gładyatory pigmeje, niefortunne ćwiki
 Z wilczymi kłami w paszczach, wszech pol-
 [skiego cechu!
 Anglów, Sasów mądrością przemądrzałe
]smyki
 Buffony prawa pięście, ohydne rufiany!
 Ognia, miecza, powrozu dziś święcący chu-
 [cie!
 Szpetne dudki palcami kiwające w bucie
 Śmiechorodne ministry Polszczy skrupowa-
 [nej
 Szlifierze lwowskich bruczków, ukraśnione
 [łgarze
 Głaszczouchy mieszczańskie, przemocy ku-
 [glarze

Gołowase junkiery o żubrzej paszczęce
 Do każdej misy trefne wdzierający ręce
 Pomnijcież, którzy jeno wzdychacie do władz-
 [twa

Jako jedni z nas syci, gdy z sytego bractwa
 Wszystko jedzą z korzeniem; inni na przed-
 [nowku

Korzenie z lasa, w glinach giną przy przy-
 [chówku

Nie kłońcież grzechom Lackim, słabiznom
 [gromadzkim

„Siebielubstwa istinnych“ nawałnych podłości
 Włoskich, pruskich, florenckich nowym try-
 [bem grackim

Odświerzonych ku hańbie zacnej potomności
 Nie mąćcież narodowej kadzie i piwnice

Imajcież się raz ziemie wyzbywszy mgławice;
 Swywolne łapigrosze! lubozmienne zdzierce!

Przez was zbytnie biegusy ojczyzna na nice
 Przez was krzesne waganty Polszcza w po-
 [niewierce!

— — — — —
 Przetoż wy znowu rymów kunsztarze prze-
 [sławne

Snycerze słów misternych! saltymbanki spra-
 [wne

Kobziarze z klechdów składające pieśni
 Nocami przy ogarkach o głodzie i w bezśnie
 Babom skazki a dzieciom sonety na wety!
 Świegotliwie a k'rzeczno słodkie wierszo-
 [klety

Krasnoludki galantne, skoczne mietelniki
 Hermezyjscy maguse, ręcze skurczybyki!
 Drapichrusty nadobne *item* kozernicy
 Wymizdrzone piękosie, ktosie, kosternicy

U gminu dusza w brzuchu aż mdleje od
[smrodu
Z głodu i obrzydłości parszywość narodu
Głupota *scepter* dzierży, toż gładkie droż-
dżale!

Czas samogwałcić z Muzą nieprzystojnie
cale?

I zaż chuchać na róże trza gdy płoną lasy?
I zaż muskać wierszydła dla tabulatury,
Wkiedy dusze zawładły ohydne augury?

Pobok was idą bez was rojne strojne czasy!...

I wy największej szpetne z Tańca Śmierci
[parki

Mitręgi tańczące przy dźwiękach cytarki
Pyzate powsinogi, brzuchate kostery
Zamtuzowe witezie ledajakiej cery
Wydmikufle kordyaczne, chędogie ledace
Żołędnych tuzów fortelne pajace
Nierządny fraucymerem schudzone rarogi!
Ogłupiałe w pierzynach przy żonce niebo-
[giej

I wy sołtyse głośnie rują w cichem siele
Z zezem w oku ohydny, z wólem na gar-
[dziele

Wszetecznych bękartów niegodziwe ojce
Koguty harde grzebkiem wkiedy pełne kojce
Goliardy spokorniałe, gdy w mieszkach czer-
[wieńce

Kantory i tenory z głodniałe na wieńce
I wy co więcej jak krwie macie Merkuryu-
[sza

Mizeryjo swarliwa, trzódka bezpastusza
Urzędniczki niemrawe z pedogryczną nogą

Szynkarze, kanafarze, co przy cnym rze-
[mięśle

Zapomnieli co gędzba, co dudy, co gęśle

Lichogrodzie! Bych ja cię rozsierzony srogo

Ni żak ni dworak po znoju w spokoju

Nadzieją rączy w hecowanym stroju

Pognębił w pieca siarczyste czeluście

By *indygnatio versum*, prawda znaszła uście

I oby Sowizdrzałów zrodziło się wiele,

Coby plewli obłudę to wszeteczne ziele

I swe *Veto* przed oczy narodu miotali

A snadź niżli z pochlebstwa więcejby wy-

[grali

Polszczaby boską wonczas znalazła protek-

[cyę

W niecnym pogromie

Niegodnych sromie

I Rezurekcyę!

*Powitanie karnawału „Sowizdrzała”. Belo-
velo-melo-deklamacya Sowizdrzała.*

Zawitaj ciało! Carne vale! Vale!
Bądź pochwalony dziś zapustny szale!
Bądź pochwalona śmiechu pstra kaskado!
Bądź pochwalona rozdżiana Najado!
Bądź pochwalony dwóch ciał młodych splocie!
Bądź pochwalony tańczących zawrocie
Bądź pochwalony kadrylowy flircie
Bądź pochwalony ty..... weselny mircie!
Schodzi z obłoczków Amorek kuplerek
Ten najtłuściejszy z najweselszych trzpio-
(tów

Z kołczanu setkę już wydobyl grotów
Celuje w sercu stęsknionych pasterek.
Schodzi Afrodis białonoga jejmość
Patrzac w szeregi fraczastych blanbeków
Którego vigor w licach wróży jejdość
Tego pociąga gdzieś w zacisze smreków.
Ach bo karnawał..... to rząd Afrodyty!
Putyfarowej to monarchia sroga;
W której kanclerzem mianowano boga
Amorka, co to ni figą zakryty.
Bądź więc pochwalon ty bez figi! tłusty!
Bądź pochwalony proroczku rozpusty
Bądź pochwalona Venus Carnevalis!
Bądź pochwalony co cholewki smalisz!
Bądź pochwalony co rzniesz obertasy!
Bądź pochwalony co wodzisz kadryle!
Bądź pochwalony parkietowy pyle!
Bądźcie chwalone skrzypce! flety! basy!

Bądźcie chwalone lody! pączki! chrusty!.....
Lecz czy znasz ty krakowskie zapusty?

(Muzyka gra melodyę: Miateś chامية złoty róg. Sowizdrzał śpiewa).

Tańczy nuda z biedą w takt
Wieczny bo zawarły pakt
Trzymać w kleszczach Kraków
Stolicę biedaków...

Tańczy nuda z biedą w takt. *(bis)*

Na skrofuły dziecko bal
Popatrz w salę, bierze żal
Tańczą limfatyczki
Dansery jak tyczki
Na skrofuły dziecko bal.

(bis)

U prezesów five o'clock
Co krok ziewa ktoś na bok
I nudzą się goście
Flirtują o poście
U prezesów five o'clock.

(bis)

U profesorowej fix
Na kanapce wianek siks
A kawaler jeden
Na tych dziewic siedem
Więc z marjażów będzie nix.

(bis)

Daje raut prezydent też
Patrzysz, w oczach pełno łez...
Śpiewa anemiczka
Klaszcze z sądu kliczka
Cóż ty od nich więcej chcesz!

(bis)

Literacki salon. Ścisk
 Poznać sławy — duszy zysk!
 Lecz jedna butelka
 To feta nie wielka
 Czemżeż głodny zatkać pysk? (bis)

U malarzów Sylwester
 Choć tam grozi sekwester
 Pożyczone stoły
 Huczy walc wesoły
 Choć pan maliarz jest goły. (bis)

U komtessy na plotki
 Zeszły się wraz dewotki
 Ach z tego Krakowa!
 To Sodoma nowa
 Są już pono kokotki..... (bis)

U proboszcza zszedł się kler
 Kawior, węgrzyn, Roquefort-ser
 Kolacja nie letka
 Potem gra w labetka
 Słyszać tylko złotka szmer. (bis)

U Szweingoldów Kränzchen jest
 Gra orchester mazur fest
 Wiedeńskie kuplety
 Śpiewa Fraulejn Betty
 A fajner Familien Fest. (bis)

Na Zwierzyńcu pod mostem
 Jest recepcya lecz z postem
 Jęczy harmonija
 Felek blachę spija
 Mańka ruda klnie los ten. (bis)

M u z y k a u r y w a.

Więc gdy znasz już krakowskie zapusty,
Niech się przed tobą roztworzą salony
I niech karnawał będzie pochwalony!
I niech pochwalon będzie portfel pusty!
I torty duże z wieżycami z cukru
Ciastka polane twardą cieczą lukru
Neuzylbru z Ollmütz zastawy błyszczące
Kolacje zimne, kolacje gorące
Służba najętą w sosmi zlanych frakach!
Młodzieńcy w smockach, mamy w atłas spięte!
Zające w sosach, mężatki w alpakach
Dziewice w pocie a jak w niebowzięte!
Ojce w taroku po cencie od sztona
Dla których czas ten to kar istny nawał
O niechaj będzie bryndza pochwalona
Niech będzie chwalon krakowski karnawał!

*Odpowiedź zuchwałego młodzieńca na list
otwarty „niewiasty polskiej“ do Zielonego
Balonika skarżącej się na rujowatość, porub-
stwo, opilstwo i obżarstwo „nowoczesnych
Polaków“.*

Usłyszałeś Kabarecie
Słodkiej polki gorzkie żale
Usłyszałeś jak się „dziecię“
Skarży na polskie brutale
Usłyszałeś jak w kryształ
Pięknych rytmów drży serduszek
Tej dziewczyny, która nóżką
Pogroziła nam zuchwale.

Lecz w tej całej jeremiadzie
Która veto damskie kładzie
Piaśto — Rejowskiej biesiadzie
Racyę trzeba przyznać... wcale
mocnym słowem w swym zapale,
wcale... Lecz są pewne ale...

Prawda, że my młode bogi!
Że my, kwiat na cmentarzysku
Prawda, że my na urwisku
Tańczym taniec jednej nogi
Jako palma Nietscheańska
Opętańczo tańczym z pańska....
Prawda że my, młode lwięta
Głodne życia, głodne szau
Głodne miłosnego święta
Klnąc szarej nudy odmęta
Czasem wyjem w firmamenta
Nie podobnie do chorała!

Prawda, że te nasze głosy
 Czasem zdarte jak podeszwy
 Drażnią waszych dusz lotosy
 Rozkwitłe z naszych serc mierzwy...
 Lecz, że krzyczą albatrosy
 W szale szczęścia wiecie też wy?
 Wiecie, że i na Saharze
 Zabłąkany tygrys..., szyję
 Wyciągnawszy k'niebu wyje,
 Że go Bóg Saharą karze.
 A czyż to dla nas nie kara
 Żyć tutaj, gdzie nikt nie żyje
 Czyż Galicya nie Sahara
 Nie wyć nam na Galicyję?

Drażnią Pani konchy uszek
 Nasze wrzaski i oklaski
 Kiedy śpiewa Tadeuszek
 Kurdesza lub mówi skazki
 Sierosławski „bez obrazki“
 Radzi pani na łańcuszek
 Konwenansu brać... i paski
 Kłaść na buzię, aby brzuszek
 Nie trząsł się od śmiechu z łaski
 Przedowcipnych faramuszek.

O Pani, pani Anielo,
 Dejaniro nowa! smutna!
 Kiedy się inni weselą
 O ty wiecznie bałamutna
 Raz tęskniąca za kądzielą
 To znów jak Izis okrutna!
 Gotowa mieć romans z Szelą
 Głaskać rączką zgrzebne płótna
 To znów zimna, trudna, dumna
 Chuda nudna jak kolumna...
 Więc Ciebie pani Anielo
 Drażni, kiedy gwar się wzmaga?

Drażni gdy się rozaniela
 Polskie djabliki? Gdy naga
 Dżoja wchodzi tam gdzie chłopcy?
 Więc ci stary humor obcy?
 By my cicho jako skopcy
 Się bawili, albo maga
 Wzięli miny, by z czupryny
 Nie kurzyło się nam trunkiem
 Byśmy byli wciąż z szacunkiem
 Z rewerencyą dla dziewczyny
 Z poważną moralną chęcią
 I z attencyą i bez kpiny
 Z admiracyą dla mężatek
 Adoracyą szatek, szmatek
 Z kurtuazyą dla rozwódek
 I ślubowali od... wódek!
 Tego pani dziś wymaga?
 Czyli aby z nas Anhelli
 Każdy był pani Anieli?
 Byśmy się stali sferyczni
 Mesjaniczni, romantyczni?
 Jak narcyzy idealni
 Może preraphaelityczni?
 Astralni też i w sypialni?
 Czy pani tego wymaga?
 Pani daruje: to blaga..!
 Romantyczna blaga naga!...

Skarży się dalej w swym liście
 Pani! dziewica zaklęta...,
 Że my się bawim! zaiście
 Jak czereda, co rozpęta
 Swoje instynkta bestyalne...
 Mie chcemy... mówić kwieciście
 Że gesta mamy nahalne
 Nie wersalskie oczywiście,
 (apetyty że szakalne)

I że czeka znów na przyjście
 Królów z bajki tryumfalne
 Dziewica polska... Falbanka
 Czeką na z baśni kochanka,
 Na króla Ćwiczka czy Dzwonka
 Czeką polska Amazonka!

Och kobieto nieodrodna!
 Dawnych dziewic polskich wnuczko
 Jakżeś ty, jakżeś maluczko
 Odmieniona! wiecznie godna!
 Wiecznie „czysta w Bożej krasie“
 Pełna idej! wąska w pasie
 W. czynach stara, w słowach modna!
 Wiecznie z fiołeczkiem u łona
 Wiecznie „sromem zapłoniona“
 Do miesiąca wzdychająca
 Cnotą wkoło parskająca
 Zwinna jako ważka wodna
 Jako wodna rybka, ślizka
 Szczęsna, gdy się kto umizga
 Obrażona, gdy kto do dna
 Chce zaglądnąć twojej psychy
 Proponując ci kielichy
 Wyhyłać cielesnych szalów!
 Panno polska pełna pychy.
 Fontanno letnich zapalów
 Wisielanko, Świtezianko
 Puchu marny! Morska pianko
 Rusaleczko! Krasawico
 Wiecznie sama z książką!... z świecą!
 Danuśko, Zosiu, Grażynko
 Ty z Bez dogmatu dziewczynko!
 Lillo Wenedo! Aldonko!
 Czystościami wonne gronko
 Najcnotliwsze z świata dziewic

Niewinności oceany!

Siódmy chórze archanielic!

Nie dla was z bajki królewic!

Nie dla was król zakochany!

Nie dla was pijane bożki.

Z naszych szalów wam ni troszki!

Nie do waszej pieśń pończoszki!

Nie o waszej pieśń spódniczce!

Nie dla was rozdęte chrapy!

Nie dla was sarmackie łapy!

Niech wam kwitnie mirt w doniczce

Pochwała mamy i papy

Wy se sobie a my sobie!

Niech niewinność rzepkę skrobie

Niech sprzedaje wciąż pietruszkę

Niech łyzi roni na poduszkę

Niech się pławi w cnoty chwale

Niech nie zazna co brutale

Niech nietknięta jej falbanka

Niech śpi do białego ranka

I niech z marchwi i pietruszek

Wzię dalej cnót wianuszek....

A wy polskie mężateczki

Idźcie śladem tej dziewczek!

Bądźcie wierne, skromne, schludne

W domu ciężkie, w świecie strojne

Dzieciorodne, bogobojne,

Ludziom nudne, w miarę brrrudne

W alkowie przy blasku świeczki

Chwalcie pręcik swej klateczki!

Oj Poleczki! Lalki polki!

Ze się podział was rezonik,

Świadkiem Zielony Balonik,

Na którym was albo kolki

Kłują (excuser le mot) czy stalki

U gorsetów czy fiszbiny?

Dość!, że takie macie miny
Jak z drzewa ciosane lalki
Jak obrażone westalki
Prowokując samców kpiny!
I dopokąd piękne panie
Tkwiące w małżeńskim areszcie
Nie nauczycie się wreszcie
Miłosne pisać wezwanie...,
Usta maczać w roztruchanie
Rozkoszy, jak w arcymieście
Paryżu ...czy lspachanie
Będziecie podlegać beszcie
A tymczasem stare hasło
Cnoty pełne . . . nie wygasło
Niech kieruje serc afery!
Wy se sobie — a my sobie
A jak pomrzemy, na grobie
Wypiszemy te litery:
Tu leży polska kobieta
Była cnotliwą i kwita!
Tu leży polski mężczyzna
Którego tuliła obczyzna!
Tu leży polska dziewczica
Cnotliwa w niej była krew
Czekała bo królewica
Lat... soixante neuf...

*„Gorzkie Żale Hererów“. Smętny kuplet
o kulturce pederastycznych kolonizatorów.*

*(Na scenę wypada para murzyńska, stanęła
i wyje).*

MURZYN:

Z nad jezior słonych idziem my
Na ciele rany, w oczach łzy,
Spalone nasze sioła, wsie,
Przed nami strasznej nędzy dnie!
Pobit dobytek, pusty trzos,
Czeka nas z głodu śmierci los
Przepadło wszystkich rodzin mienie,
Gdzie spojrzysz zmarłych drogich cienie!

MURZYŃKA:

Małych dzieciąt miałam sześć,
Owieczek siedem, krówek pięć,
Było co w domu pić i jeść,
Była do życia zartka chęć,
Starczyło nam na ciała strój,
Spólny był z mężem pracy znój,
Żywiła nas kokosna włość,
I gość co przyszedł jeść miał dość.

MURZYN:

W tem nagle na parowcach nadjechały
[w nasz
kraj biedny od mórz wstrętne białe twarze!

MURZYŃKA:

Żołnierzy bataliony z armatami,
 Infanterya, kawalerya, szynkarze i misyonarze!
 Wraz przepadł spokój, przepadł mir
 Przyoblekł Prusak wszystko w kir
 Starą sadybę puścił w perz,
 Spłonął nasz wigwam jakby kież,
 Zbudował knajpę, zamtuż, tum,
 Sprowadził piwo, wódkę, rum,
 Rozszerzył wokół picia trąd,
 Pod berło pruskie zgarnął ład.

MURZYŃ:

Ach i na nas cichych spadła nikczemna
 [znienacka,
 całemu dzisiaj światu wstrętna kultura pru-
 [sacka!
 Lecz co tam gryść się, gdyśmy tutaj są,
 Cywilizować balem nas nie chcą,
 TAŃCZĄ OBOJE Nigger-Polkę.

MURZYŃKA:

Kacykiem naszym został Schmid
 Prusak, co ludzki stracił wstyd
 Z Berlina zjechał biały czart
 Aby Hererów ugiąć hart.
 I poczał jednym palce piec,
 Innym prętami stali siec,
 A innym tyle dawał różg,
 Aż pryskał w koło biały mózg.

MURZYŃ:

Każdy z nas nienawidził go
 W każdym bezsilna ziała złość

Każdy brał zato za to batów sto
 Aż z krwawych ran bielą kość!
 Starców za siwy ciągnął włos
 Psy szczuł do naszych dziewcząt kos.
 Aż po upuście strasznych kar
 Z narodów chwatów — naród mar!

MURZYŃKA:

Ach Boże za co karzesz naród stary, cichy,
 skromny, dobry, bogobojny!
 Ach Boże białych twarzy czemu zsyłasz na
 nas takie krwawe, srogie wojny!

MURZYŃKA:

Miałam ja siostrę jako kwiat
 Ale ją porwał pruski kat
 A siedem innych dziewcząt wraz
 Kupił z rządowych złotem kas.
 W domu swym zapowiedział tanc
 Na katarynce Siegeskranc
 A kiedy go ogarnął szal
 Wszystkie nas gwałcił — wszystkie brał.
 Ach a nam skargi ślać to było tyle, co głową
 [bić o mur!
 Odpowiadali: bleib still! das ist ja die preus-
 [sische Kultur.

MURZYŃ:

Ale my gwizdżem na junkierskie psy
 Zatańczym sobie aż się sypną skry.

TANCZĄ OBOJE NIGGER-POLKĘ.—

MURZYŃ:

Było nam niegdyś życie baśń,
 Zanim wpadł prusak jako grom

A teraz gnijem w głębi kaźń
 Wokoło gniew, płacz, wstyd i srom —
 Oniambę Wilhemsdorfem zwa
 Lasy bananów rzną i tną
 A gdzie był obóz z pośród wzgórz
 Tam Friedrichshöhe leży już !

MURZYNKA :

Z djabłem zawarty wieczny pakt,
 Już obok sklepu drugi sklep
 Kulturę kładą tam na lep
 Jägera-Wäsche ! Malc Ekstrakt !
 Sklep z bronią Kruppa, Gummi-Wahr,
 I ausichts-kartów słodki czar
 Aszinger Bier, Manlichers-Gwehr !
 Mein Liebchen was willst du noch mehr?
 Ach głupie białe twarze niechże Bóg was
 ciężko skarze z tą cywilizacją!
 Ach Europejczyki dzikie co to wam
 panować nad Hererską nacyą!

MURZYN :

Niewiele z naszych ziem wziął rząd
 Mało podatków zbierał stąd
 Bo Kolonialamt wszystko kradł
 A co nie skradł, Szmid kacyk zjadł
 Tylko berichy szły w Berlin
 Alles geht nach dem Kanclers Sinn
 Fest steht und treu die Wacht am Rhein
 Czarnemu bratu biały Kain.

MURZYNKA :

Litości ! Europy ludy bierzcież precz raz wasze
 [heiligsten Gütter
 Pruskiego ducha skarby nam smakują
 [bardzo bitter.

MURZYN:

Lecz co się trapić tą prusacką krwią!
Kiedy nam nogi same tańczyć chcą.

TAŃCZĄ NIGGER-POLKĘ.—

MURZYN:

Słynny był w świecie Njambów klan
„Sępowe serce“ wkoło zwan!
Dziś on w tułaczce poszedł w świat
Zwiedził potężny świata szmat!
Lecz może jeszcze przyjdzie czas
Podrośnie znów kokosów las
Wróci do słonych jezior swych
O białych twarzach zginie słych.

RAZEM.

I za nim trzykroć już zapieje kur
Przepadnie cała preussische kultur!
—*Krzyczą przeraźliwie, tańczą i znikają.*



*„Krakowski zaścianek”. Mała impertynen-
cja wygrzmiana donośnie przez Marchotę.*

Słynie szeroko w Polsce krakowski zaścianek
Szczupłością kapitałów, górnością zachcianek,
Niegdyś możny, bogaty... od lat zbiedniał

[mocno,
Smętny w dzień, już grobowym zda się po-
[rą nocną

Dzwony w nim ino dzwonią a pogrzeby idą
Wszyscy walczą mozolnie z pan-macierzą biedą
Która tu się rozrosła aż do wszechmocności,
A nuda szpik wysysa z kruchych ludzkich

[kości
Niegdyś tu królów wdałych gościły Wierzyński
„Pod wiechami“ w Ratuszu hasały dzie-
[wczynki

Niewstydzące się wiewnych zgarnawszy fał-
[banek

Roztaczać przed raycami wdzięk nagich ko-
[lanek

Dzisiaj ino łysiny nagie w świetle łyszczą
Ludziska wynędzniałe na drożyznę piszczą
Jęczą, że drogi węgiel, mięso i cygaro
Żona, doktor, bakałarz, Gambrynus, Figaro.
Słynał niegdyś szeroko krakowski gród kró

[łów
Że w nim gwar, jak gdy pszczoły wyroją
[się z ulów

Że w nim włoskie i reńskie, greckie i wy-
[spiańskie

Wina płynęły rzeką na fantazyje pańskie,

Że szły festyny huczne, galardy, padwany
 Turnieje na Wawelu a na rynku tany...
 Z okien się piękne, strojne wychylały donny
 Kiedy przez Grodzką zmierzał panów orszak
 [konny,

Kapele na ulicach rznąły tony przednie
 Wesolo było w nocy, wesolo i we dnie
 A kiedy się na placach zjawiał rój rybałów
 Nikt nie krzyczał: ratunku! nikt nie wszczy-
 [nał gwałtów!

Dziś? na rogach dryndziarze ziewają rozgłośnie
 Oko władzy wciąż czuwa by nie krzyknął
 [ktoś gdzie

Do handelków co szczycą się hofliferunkiem
 Leżą niemrawe łyczki by się głupić trunkiem
 W „kancellaryach“ upływa życie całym setkom
 Ni się zaśni o złotym rogu tu kobietkom.
 Zamykają bodegi jeszcze przed północą
 O cnotę drogich bliźnich wszyscy się kło-
 [pocą.

Zyją ludzie jak mnichy wiodąc żywot cichy
 Starczą im: piwo Götza i kaszane kichy
 garderoba od Kohna! albo Iskowicza,
 (który jeszcze na raty smockingów użycza).
 Słynie jednak szeroko krakowski zaścianek
 Niewymierną do środków wielkością za-
 [chcianek

Pretensyami nad podziw, wybrednością sma-
 [ków

Hyperestezyą smyków, zbłazowaniem żaków
 Że osiadło tu ludzi kulturalnych z trzysta
 Z kulturalnej opinii kołtuństwo korzysta.
 Że krytykują wiele „byli Paryżanie“
 To i państwo Kleparscy głoszą swoje zdanie...
 Że wysokie pretensye mają Sztuki chluby
 To i państwo z Grzegórzeck grymasiło tu by

Że rafinady pragną intelektualne
 To rusza i ogonem swym z Zwierzyńca ciele
 Słynie nadto szeroko krakowski zaścianek
 Ospalstwem swoich samców, nudą krako-
 [wianek.

Niech się tu coś nowszego nad szablon
 [założy,

Kręci nosem po kątach każdy konik Boży,
 Krytykują najdalsi, kpią i co w pobliżu,
 Każda panusia coś tam mruczy o Paryżu.
 Konsyliarzowej adjunkt, flaneur z Liszek
 [plecie

O cudach, które widział w Widniu w Ka-
 „[barecie

A do mecenasicy młody kondzypista
 Co w Mszanie z konesera prestiżu korzysta
 Mówi z grymasem: W Widniu i u Ronachera
 Za ryńskiego mam więcej, bo walczyk Ziehrera
 Artemizę Condoni, kłownów i komika
 Małpy czerwonołyłe, z cytrą Tyrolczyka
 A tu? No i z bezbrzeżną wzdardą kondzy-
 [pista

Na krakowski kabaret i pluje i gwizda.
 Wokół grymasy stroją i mamy i panny
 Furczy kołowrot „znawstwa sztuki“ nieustanny
 Zda się że wprost z Paryża trzema „ekspre-
 [sami“

Zjechała nam ze świata mózgowa elita
 No a tymczasem? Boże pożał! Mówcie sami
 Zgrymaszoną parafią Kraków jest i kwita
 W której z trzech Polski dzielnic osiadły dziś
 [mózgi.

A wam kołtusy nadal przydadzą się różgi!
 I gdy się raz chce wyrwać mizernych ich-
 [mości

Z waszej ospałej, gnuśnej i głupiej istności

To winniście czuć wdzięczność dla młodego
 [grona,
 Że was cesarskiem cięciem tnie od Nudy łona
 I nosami nie kręcić nad śmiechu pieleszą
 I nie mieć smętnych frontów gdy się inni cieszą
 Nie udawać przeżytych gdyście nieuzyci
 I nie udawać głodnym, że są wrażeń syci
 I figlistrom nie tworzyć przeciw „Sztuce“ tru-
 [stów
 I nie manifestować zbyt swych dobrych gu-
 (stów,
 Bo w te gusta nikt który patrzy nie uwierzy.
 A prawda w tem przysłowiu pralechickiem leży
 Nie odrazu zbudowan piękny stary Kraków!
 I nie od gminu ucz się jego dobrych smaków!
 Inaczej znów wieść pójdzie po Polskich dziel-
 [nicach
 „Kraków cały w chrzcielnicach jest i ka-
 [dzielnicach“
 A z ospalstwa Krakusów, z nudy Krakowia-
 [nek
 Zasłynie znów po Polsce krakowski zaścianek.



SPIS RZECZY.

	Str.
1. Śmierć Bilitis (Skazka symboliczna)	5
2. Wielkanoc Teofilka (Facecya galicyjska)	17
3. Grafologomonoman (Burleska)	33
4. Jana Kantego Żelazikowskiego Kancylisty „Święty“ w ży- ciu „Dzień“ (Monolog galicyjsko-łodomeryjski)	71
5. Czerwony Karnawał	87
6. Mr. Strikemaker	95
7. Miły Tadzio i luby Franio	105
8. Wesele Ciompalanki	113
9. Fragment z klechdy staropolskiej (w której dziewięć- dziesiąt dziewięć procent słów jest pochodzenia obcego). Maniakalistom puryfikacyi językowej ku pamięci. Z Repertoaru kabaretów „Zielonego balonika“ i „Figlików“ fraszki i piosenki.	131
10. Monolog Marchołta na otwarcie jednomiesięcznego te- atru „Figliki“	139
11. Z III. Aktu Operetki P. T. „Piękna Ruja“ Kuplety „Pię- knej Mamy“	145
12. Z warszawskich tasleńców Epifamiusze Klaskowskiego „ex-właściciela Kaprawej Wólki i bilardera rymów czę- stochowskich“	147
13. Ostatni hałabardnik krakowski. — Tragiczne zawodzenie po zwinięciu drużyny średniowiecznych stróżów no- cnych, odśpiewane przez Grzegorza Pypcia z Krowo- dzy lat 63 liczącego, ostatniego hałabardnika miasta Kra- kowa	149
14. Z Balu na Saskiej Salii na dochód wstydzących się że- brać „literatów“ odbytego: Duet. Muzyka: „Rose mousse“ walc Bosca. wydany jako dodatek ś. p. Echa Muzycznego	153
15. Litania Sowizdrzała (gdy miał wiosen dziewiętnaście)	159
16. Powitanie karnawału „Sowizdrzała“ Belo-velo-melo de- klamacya Sowizdrzała	167
17. Odpowiedzi zuchwałego młodzieńca na list otwarty „nie- wiasty polskiej do Zielonego Balonika skarżącej się na rujowość, porubstwo, opilstwo i obżarstwo „nowocze- snych Polaków“	171
18. „Gorzkie żale Hererów“. Smętny kuplet o kulturze pe- derastycznych kolonizatorów.	177
19. „Krakowski zaścianek“. Mała impertynencya wygrzmia- na donośnie przez Marchołta	183





~~60~~ — 75 —

141714

20.2.70

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000353096



I 319822